

Rok XXXII

Nr e-140 (336)

Czerwiec 2018

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Biały Jar – najbardziej niebezpieczne miejsce w polskiej części Karkonoszy	Zbigniew N. Piepiora, Karolina M. Sikora	3
Co interesującego jest w Pohoří i okolicy?	Bartosz Skowroński	6

OJCZYSTE SZLAKI

Trzecia z wielu milionów (2)	Tomasz Kowalik	8
------------------------------------	----------------------	---

TRASA MIESIĄCA

Szlakiem Twierdzy Chełmno	Juliusz Wysłouch	10
---------------------------------	------------------------	----

GLOBTROTER

Malarstwo zachodnie w Kijowie	Janusz Fuksa	14
W Parku Rododendronów w Kromlau	Krzysztof Pik	15

PORADNIK TURYSTYCZNY

Parasol przy pogodzie, rękawiczki latem, mapa w kieszeni.	Juliusz Wysłouch	18
--	------------------------	----

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Karkonosze na dawnych mapach, rycinach i litografiach.	Krzysztof Tęcza	20
Wiesiu zaprasza do Puszczy Kampinoskiej	Sławomir Chojnacki	21
Wycieczka Rajdu na Raty do Lubiąża i Środy Śląskiej	Krzysztof Tęcza	24
XI wycieczka szlakiem Wlastimila Hofmana.	Krzysztof Tęcza	26
600 lat historii Karpacza	Krzysztof Tęcza	28
Zamek Lenno otwarty dla zwiedzających.	Zbigniew Piepiora	33

RECENZJE I NOWOŚCI

Z przeszłości Czorsztyna	Ryszard M. Remiszewski	34
Przez Kowary do Kopalni „Podgórze”	Zbigniew Piepiora	35

**Na okładce: Bazylika Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Wambierzycach
na tle Szczelińca Wielkiego w Górach Stołowych. Fot. Piotr Dacko**

Biały Jar – najbardziej niebezpieczne miejsce w polskiej części Karkonoszy

Karkonosze znajdują w zachodniej części Sudetów i są ich najwyższym pasmem. Całkowita powierzchnia Karkonoszy wynosi 639 km². Po polskiej stronie znajduje się 185 km², tj. 29% powierzchni tych gór. Ze względu na unikalne walory przyrodnicze, ok. 60 km² Karkonoszy jest objętych ścisłą ochroną w ramach Karkonoskiego Parku Narodowego (KPN).

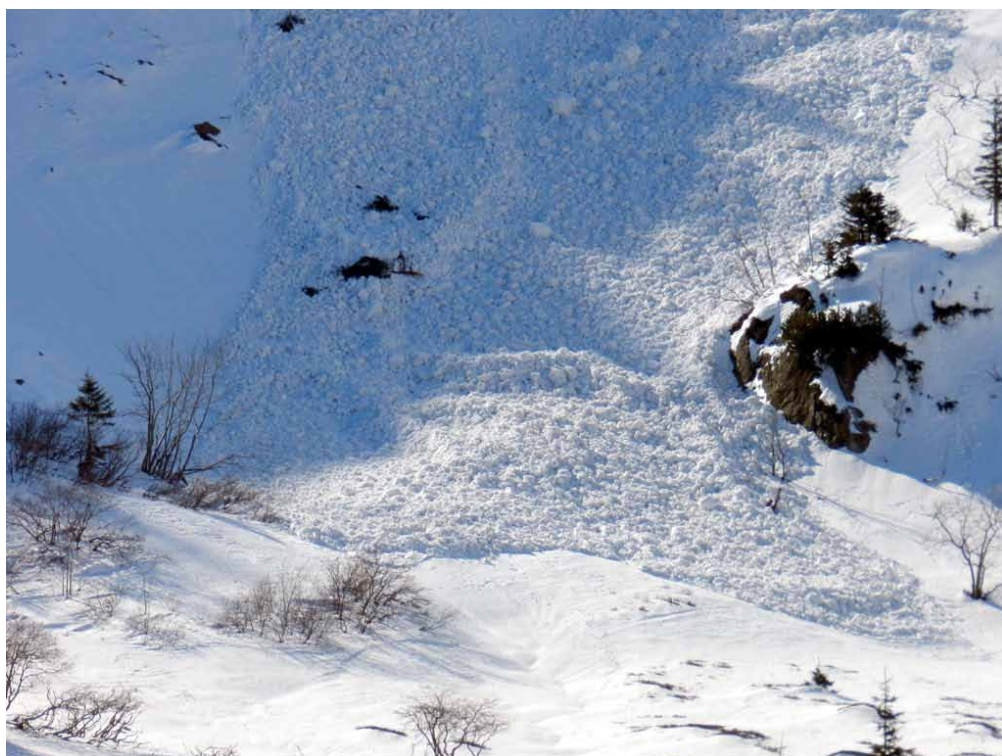
W. Niemiec zdefiniował lawinę śnieżną jako *gwałtowne przemieszczanie się dużych mas śniegu w dół stoku na odległość co najmniej 50 metrów*. 20.03.1968 r. zeszła w Karkonoszach lawina śnieżna. Według ostatnich ustaleń, lawina sprzed pół wieku miała ponad 800 m długości, 80 szerokości, a jej czoło wznosiło się na 30 m. W jej wyniku poszkodowanych zostało 5, a zabitych 19 osób (13 Rosjan, 4 Niemców i 2 Polaków), które podchodziły pod Biały Jar.

W 2018 r. mija 50 lat od tego tragicznego wydarzenia. Pamiętając o nim, autorzy niniejszego artykułu postanowili poddać weryfikacji hipotezę mówiącą, że najbardziej niebezpiecznym miejscem w polskiej części Karkonoszy jest Biały Jar. W tym celu wykorzystali metodę dowodową, zastosowali rozumowanie dedukcyjne, które jest właściwe myślowym czynnościom analitycznym.

Autorzy przeprowadzili studia literaturowe i badania terenowe. Pozyskali informacje dotyczące liczby turystów odwiedzających KPN w latach 2010–2016. Uzyskali także dane dotyczące występowania lawin śnieżnych w polskich Karkonoszach w latach 1737–2014, udostępnione przez Grupę Karkonoską GOPR. Warto zauważyć, że w wymienionym okresie rejestrowano tylko lawiny śnieżne, które wymagały interwencji ratowników górskich.

W celu sprawdzenia, czy Biały Jar jest najbardziej niebezpiecznym miejscem w polskich Karkonoszach, autorzy wykorzystali metodykę oceny ryzyka, rozumianego jako prawdopodobieństwo wystąpienia niekorzystnego zdarzenia wraz z jego skutkami w określonym czasie. Określili prawdopodobieństwo, obliczając częstość występowania (cz.w.), zgodnie ze wzorem: $cz.w. (= \text{liczba zdarzeń w danym miejscu} / \text{badany przedział czasu, czyli 126 lat}) \cdot 100\%$.

Należy zwrócić uwagę, że występowanie lawin śnieżnych w Karkonoszach wiąże się z nachyleniem stoków większym niż 30°, trawiastymi oraz kamienistymi stokami i zalegającą dużą pokrywą śnieżną na dwóch spłaszczeniach wierzchowinowych, zlokalizowanych między wewnętrznym



Lawina śnieżna w Kotle Małego Stawu, 21.03.2015

Czeskim Grzbiem oraz Śląskim Grzbiem.

Poza Białym Jarem, obszarami zagrożonymi lawinami śnieżnymi po polskiej stronie Karkonoszy są: Kocioł Łomniczki, Kocioł Małego i Wielkiego Stawu, Kocioł Smogorni, Kocioł pod Małym Szyszakiem, Czarny Kocioł Jagniątkowski, Mały i Duży Śnieżny Kocioł, Kocioł Szrenicki, północne zbocze Łabskiego Szczytu oraz Kocioł Łabskiego Szczytu. Po polskiej stronie schodzi w sezonie zimowym przeciętnie 20–25 lawin śnieżnych.



Biały Jar, 01.03.2015

Ratowaniem życia ludzkiego na terenie Sudetów Zachodnich, w tym m.in.

w Karkonoszach, zajmuje się Grupa Karkonoska Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego (GK GOPR). Za bezpieczeństwo na obszarze Karkonoskiego Parku Narodowego odpowiada dyrektor KPN. Wprowadzane są okresowe regulacje dostępności szlaków (zamykanie, wyznaczanie przebiegu szlaków zimowych, wytyczanie tras alternatywnych). W tym zakresie KPN współpracuje także z GOPR.

Warto przypomnieć, że Biały Jar to niwalna nisza źródłiskowa Złotego Potoku, z której szlak żółty (droga letnia) prowadzi w stronę schroniska „Strzecha Akademicka” i przez którą przebiega Śląska Droga (szlak czarny), łącząca dolną i górną stację wyciągu na Kopę. Biały Jar jest w całości położony nad górną granicą lasu. Na górnej krawędzi Białego Jaru tworzą się ogromne nawisy śnieżne. Płaty śniegu zalegają tam często do sierpnia. Nachylenie stoków Białego Jaru wynosi 30–39°. Ich podłożem są gruzowo-piaszczyste zwietrzliny o nietypowej (jak na stoki w Karkonoszach o takim nachyleniu) średniej grubości 1,5 m, a lokalnie nawet 2–3 m. Niemal połowa powierzchni stoków Białego Jaru pokryta jest jedynie skąpą roślinnością trawistą bądź jej zupełnie pozbawiona. Te czynniki warunkują znaczne nasilenie zjawisk takich, jak spływ gruzowy w lipcu 1997 r. czy lawina śnieżna w 1968 r. Zdaniem S. A. Jawora, Biały Jar od dawna był uznawany za miejsce szczególnie zagrożone lawinami, a w opinii M. Staffy i zespołu jest *jednym z najbardziej lawiniastych i niebezpiecznych miejsc w polskich górach*.

W oparciu o pojęcie lawiny śnieżnej W. Niemca, autorzy zdefiniowali termin śnieżne zdarzenie lawinowe (ŚZL), które określili jako *gwałtowne przemieszczanie się dużych mas śniegu w dół stoku na odległość co najmniej 50 metrów, które powoduje śmierć i/lub cierpienie istot żywych*. Po analizie występowania lawin śnieżnych w polskich Karkonoszach w latach 1737–2014, autorzy odrzucili zjawiska, które nie spełniały kryterium ŚZL. Badany okres skrócił się do 126 lat (1888–2014). W wyniku analizy pojawiania się ŚZL, autorzy określili najbardziej niebezpieczne miejsca na badanym obszarze: rejon Kocioł Łomniczki – Śnieżka – Kopa, Biały Jar, Kocioł Małego Stawu, Kocioł Szrenicki.

Autorzy wyznaczyli skutki, sumując całkowitą liczbę poszkodowanych w danym miejscu (czyli ofiar śmiertelnych i poszkodowanych) i dzieląc ją przez sumę średniomiesięcznej liczby turystów odwiedzających KPN w latach 2010–2016 w miesiącach styczeń–kwiecień i grudzień. Uzyskali wskaźnik ryzyka dla danego miejsca, przemnażając każdorazowo prawdopodobieństwo przez skutki wystąpienia ŚZL w badanym obszarze – im większe ryzyko, tym miejsce jest bardziej niebezpieczne.

Autorzy uzyskali następujące wskaźniki ryzyka: rejon Kocioł Łomniczki – Śnieżka – Kopa – 0,0002%, Biały Jar – 0,0070%, Kocioł Małego Stawu – 0,0029%, Kocioł Szrenicki – 0,0001%. Największe ryzyko

pojawienia się śnieżnego zdarzenia lawinowego występuje więc w Białym Jarze.

Odpowiedź na pytanie badawcze Czy *Biały Jar jest najbardziej niebezpiecznym miejscem w polskiej części Karkonoszy?* jest twierdząca, ponieważ wskaźnik ryzyka wynosi dla Białego Jaru 0,0070%. W związku z tym, autorzy zweryfikowali pozytywnie hipotezę: *Najbardziej niebezpiecznym miejscem w polskiej części Karkonoszy jest Biały Jar.*

Przeprowadzona ocena ryzyka potwierdziła opinię S. A. Jawora, że Biały Jar to miejsce szczególnie zagrożone lawinami. Aby zweryfikować, czy Biały Jar *jest jednym z najbardziej lawiniastych i niebezpiecznych miejsc w polskich górach*, jak stwierdził M. Staffa i zespół, potrzeba dalszych badań. Niezbędne do tego są dane dotyczące występowania lawin śnieżnych w polskich górach oraz ruchu turystycznego w pobliżu miejsc zagrożonych lawinami.

Dalsze badania powinny zostać również poprowadzone w kierunku sprawdzenia, czy Biały Jar jest najbardziej niebezpiecznym miejscem w Karkonoszach? Niezbędne do tego będą dane dotyczące występowania lawin śnieżnych w czeskiej części tych gór oraz ruchu turystycznego w pobliżu miejsc zagrożonych lawinami.

Zbigniew N. Piepiora, Karolina M. Sikora
fot. Zbigniew N. Piepiora

Artykuł oparto na publikacji: Z. N. Piepiora, K. M. Sikora, „Biały Jar – najbardziej niebezpieczne miejsce w polskich Karkonoszach”, w: K. Tęcza (red.), „Zmarłym ku pamięci, żywym ku przestrodze. Lawina 1968”, seria „Zeszyty Historyczne” nr 1(17)/2018, wyd. Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy i Związek Gmin Karkonoskich, Bukowiec 2018, ISSN 2449-741X, 70 stron, 3,5 ark. wyd., s. 5–12.

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Co interesującego jest w Pohoř i okolicy?

Na pytanie postawione w tytule najprościej odpowiedzieć: wiele miejsc i obiektów. A zacząć warto chyba od tytułowej części miasta Odra, położonej bardzo daleko od zwartej zabudowy śródmieścia i dużo powyżej, za lasami. Nic w tym dziwnego, wszak Pohoř to dawna wieś, przyłączona do Odry w 1976 r. To praktycznie skraj Niskiego Jesionika, a tym samym i Sudetów. Pohoř więc już samym swym położeniem może przyciągać turystów. Większość zabudowań posadowionych jest na lekko pofalowanym, miejscami prawie płaskim, terenie, jednak już praktycznie na dość rozległej wierzcholinie – grzbiecie gór. A gdzie góry? – mogą zapytać czytający te słowa. Otóż prawie z każdej strony owa wierzchoлина otoczona jest zboczami górskimi (momentami stromymi). Jedne z nich opadają do doliny sudeckiego w tym miejscu odcinka rzeki Odry, inne – do doliny ciekup podpisane czasem na mapach jako Złoty potok, kolejne – do doliny Kletenskiego potoku, wypływającego dosłownie wśród domostw Pohoř, jeszcze inne – do Bramy Morawskiej. Ten fragment gór oglądany właśnie z dołu – czy to przez szyby okien pociągu jadącego ze stacji Suchdol nad Odrou w stronę miasta Odra, czy też np. z rejonu stacji kolejowej w tym mieście – robi największe wrażenie. Po prostu widać stamtąd, że to już wyniosłe góry, z dołu porośnięte lasami, na grzbiecie zaś w większości bezleśne i w dodatku częściowo zabudowane. Oczywiście to niejedyny takie miejsce w Niskim Jesioniku.

Najwyższym wzniesieniem w rejonie Pohoř jest góra o tej samej nazwie (480 m). Dla formalności można dodać, że to najwyższy szczyt Tošovickiej vrchoviny, będącej z kolei częścią Vítkovskiej vrchoviny. Ta ostatnia stanowi mikroregion (czeski *podcelek*) Niskiego Jesionika. Góra oglądana od strony zabudowań Pohoř nie wyróżnia się niczym charakterystycznym. Ot, ledwo co wznoszący się pagór. O tym, że rejon tego wzniesienia to góry z prawdziwego zdarzenia, przekonać się można np. wędrując w stronę zabudowań Pohoř niebieskim szlakiem rozpoczynającym się blisko stacji kolejowej Odry. Po opuszczeniu zwartej zabudowy tego miasta trasa dość mozolnie prowadzi drogami po zboczach górskich (m.in. po zboczach tego wzniesienia). Na szlaku da się poczuć pewną dzikość i, co tu dużo mówić, pobyc po prostu w pięknym terenie. Można tam spotkać np. sarnę.

Pewien odcinek omawianego szlaku łączy się z fragmentem ścieżki dydaktycznej. *Naučná stezka Stříbrný chodník*, bo o niej mowa, sama w sobie również jest atrakcją. Z tablic stojących na poszczególnych stanowiskach dowiedzieć się można wielu interesujących informacji. Teksty są wprawdzie pisane w języku czeskim, ale warto choćby zerknąć na dołączone zdjęcia i rysunki, bowiem doskonale ilustrują to, co na danym przystanku ma być przedstawione wędrowcom.

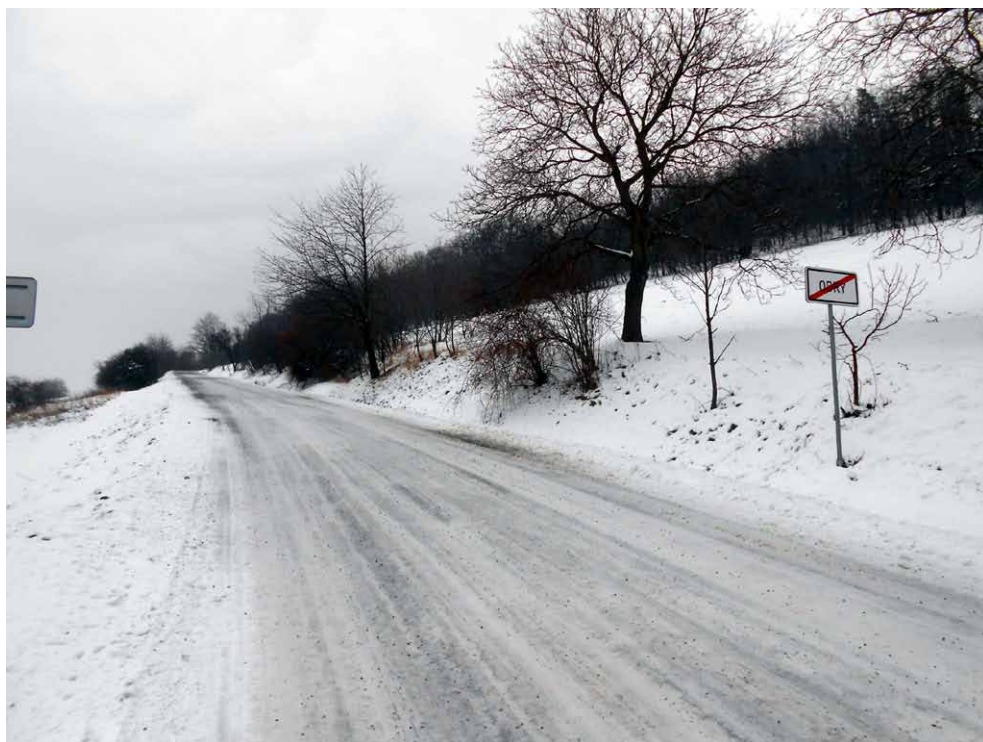
Jednak nie wspomniana góra Pohoř, a inna, Olšová (475 m), jest teraz chyba najsłynniejszym wzniesieniem w tym rejonie. Nawet nie sam jej szczyt, ale bliska okolica, bowiem w 2014 r., opodal tej góry z jednej strony i drogi z drugiej, powstała wieża widokowa. Jako że ten fragment Niskiego Jesionika to i kraniec Sudetów, sąsiadujący z Bramą Morawską, przy odpowiedniej pogodzie można z tarasu widokowego wieży zobaczyć fragment Karpat (w tym część Beskidu Morawsko-Śląskiego), ale nie tylko. Podziwianie panoramy ułatwiają umieszczone tam zdjęcia z objaśnieniem poszczególnych widoków. Naprawdę, jest na co popatrzeć. Miłośnicy górskich krajobrazów powinni wiedzieć, że to niejedyny widokowe miejsce w tej okolicy.

Nie tylko krajobrazy w tych stronach godne są polecenia. Wspomniana ścieżka dydaktyczna wiedzie od zabudowań Pohoř dalej w kierunku doliny



Wieża widokowa opodal szczytu góry Olšová

Odry. Na wędrowców zdecydowanych podążać nią czeka jeszcze m.in. przejście przez dolinę Zlatého potoku. Początek górnej części doliny tego cieką leży dość blisko ostatnich domostw Pohoří. Tuż za nimi widać porośnięty lasem teren, który zaczyna tam opadać w dół. Na skraju lasu, w załączku koryta potoku, znajduje się niewielka budowla, jakby mały murek z otworem – coś, co można by porównać do symbolicznego ujęcia źródła cieką. Budowlę tę jednak trudno dostrzec ze ścieżki dydaktycznej, nawet gdy drzewa i krzewy nie mają liści. W lesie dolinka na bardzo krótkim odcinku staje się coraz głębsza, aż w końcu po prostu głęboka.



Fragment szosy łączącej śródmiejską część miasta Odra z Pohořem

Zmierzający ścieżką dydaktyczną w stronę doliny Odry zobaczą po prawej stronie kolejną tablicę, tym razem oznaczoną numerem 9 i podpisaną jako *Zlatý důl – těžba rud*. Tablica stoi tu właśnie przy bardzo głębokim i ogrodzonym Zlatým důle. Uwaga! – miejsce to należy obserwować z bezpiecznej odległości. Na tablicach wypisane są stosowne zakazy i zalecenia, których trzeba przestrzegać. Zlatý důl to jedno z miejsc związanych z górnictwem rud w tym rejonie. Wszak Pohoří i okolice mają bardzo bogate tradycje górnicze.

Wędrując wspomnianą ścieżką dydaktyczną (która akurat tutaj prowadzi drogą leśną dość stromo w dół) jeszcze dalej w stronę doliny Odry i coraz niżej głęboką dolinką Zlatého potoku, dochodzi się do kolejnego stanowiska. Oznaczone jest ono numerem 10 i opisane jako *Geologie*. W tamtym rejonie znajdują się ładne, acz dość trudne do zobaczenia kaskady.

Miłośnicy dziejów górnictwa nie powinni poprzestać tylko na pobycie przy tablicy z numerem 9. Warto zaproponować im lekturę tekstu i materiału ikonograficznego umieszczonego m.in. na tablicy stanowiska numer 8, stojącej wśród zwartej zabudowy opisywanej części miasta Odry.

A gdy już mowa o zabudowie, to jej dominantę w Pohoří stanowi pochodzący z końca XVIII w. barokowy kościół pw. św. Prokopa, wzniesiony na miejscu starszej, drewnianej świątyni. Wśród obiektów sakralnych godne uwagi są też np. niejako dostawione do niektórych dużych zabudowań mieszkalnych, domkowe kaplice. Inne interesujące obiekty to niewielki krucyfiks na postumencie oraz wolnostojąca kapliczka domkowa. Ta ostatnia posadowiona jest przy szosie na skraju zabudowań Pohoří.

Nieco bliżej bardziej zwartej zabudowy, po drugiej stronie drogi, zaczyna się dolina wspomnianego Kleťského potoku. Bierze on początek praktycznie w rejonie zabudowań, by następnie, częściowo przykrytym korytem, płynąć przez teren zwartej zabudowy opisywanej części miasta Odry. Za zabudowaniami jego dolina staje się stopniowo coraz głębsza, aż wreszcie otacza, już jako głęboka dolina, grzbiet z rozległą wierzchołną, na której wznosi się m.in. szczyt góry Olšová i posadowione są domostwa Pohoří. Fakt, iż na terenie zabudowanym potok płynie częściowo pod ziemią, a częściowo otwartym korytem, może być dla niektórych atrakcją. No bo z jednej strony widzimy np. drogę i zabudowania, a z drugiej, wypływający prawie jak wywierzynisko, zasobny w wodę potok.

Interesujący przebieg ma również prawdziwie górska szosa łącząca zwarte zabudowania śródmieścia Odry z odległą częścią miasta – Pohořem. Pokonuje ona jednak sporą różnicę wzniesień i zatacza kilka bardzo ostrych (uwaga!) zakrętów, w tym okazałych wirażów.

Na koniec muszę dodać, że niniejszym nie wyczerpałem odpowiedzi na pytanie postawione w tytule. Interesujących miejsc, obiektów czy historii dotyczących Pohoří oraz okolic jest znacznie, znacznie więcej. Zachęcam do sprawdzenia tego w terenie.

Bartosz Skowroński

Trzecia z wielu milionów (2)

Celem drugiej z kolei wycieczki (pierwszą i trzecią już wspomnieliśmy) zapisanej w historii Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego była Żelazowa Wola, niepozorna mazowiecka wieś nad niewielką rzeką Utrą, dopływem Bzury, po sąsiedzku z Puszcą Kampinoską. Można powiedzieć, że od 29 września 1907 r. PTK weszło na początkowo wąską ścieżkę, a z czasem coraz szerszy gościniec popularyzatora polskiej muzyki, w tym przypadku postaci i twórczości Fryderyka Chopina. Wtedy jeszcze nie było tak wielkiego kultu osoby i muzyki, która z biegiem lat stała się, w skali międzynarodowej, jednym ze znaków rozpoznawczych kultury polskiej, a tym samym krajoznawstwa, zgodnie z podstawową zasadą „poznaj swój kraj”.

Taką konieczność głosił Stanisław Staszic – w 1800 r. był współtwórcą Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, które kontynuowało idee i zaledwie dwudziestoletnie (1773–1794) dokonania Komisji Edukacji Narodowej (1773). Twierdził z przekonaniem: *Moralnej nauki poręką jest historia krajowa. Tę każdy obywatel najpierw umieć powinien [...]. Pierwszą książką, którą w rękę weźmie, niech będą dzieje tych ludzi, z którymi żyć mu potrzeba [...], by nikt nie ubiegł nas w poznaniu własnej Ziemi.* Takie idee podobnie formułowali i wyznawali pierwsi krajoznawcy, którzy wcielali je w życie, m.in. organizując wycieczki. W ten sposób dokonywali wielkiego dzieła edukacji narodowej a więc krajoznawczej, aby ich rodacy poznawali i „znali swój kraj”.

KEN działał tylko 20 lat, ale w tak krótkim czasie przekonał, za pomocą licznych dowodów, że poznanie kraju ojczystego wymaga ruchliwości, dosłownie – wędrówek, zwiedzania, poznawania osobliwości przyrodniczych, bogactwa natury oraz zabytków. Takie postępowanie służy rozwojowi osobowości, bogactwu umysłowemu, czyli posiadaniu i korzystaniu z wiedzy pozyskanej dzięki wędrowaniu; sprzyja też poszanowaniu tradycji narodowych i pięknej różnorodności kraju.

Przepisy KEN dla szkół elementarnych i akademii nakazywały, aby uczniowie *znali swój kraj, potem sąsiedzkie bliskie*. To były podstawy pozytywnego działania na rzecz ojczyzny pozbawionej niepodległości pod władzą zaborców. Joachim Chreptowicz – minister spraw zagranicznych w okresie Sejmu Czteroletniego, twórca Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych w strukturze KEN w 1775 r. – idąc śladem Staszica twierdził: *Edukacja obywatelska jest to formowanie serc i rozumów obywatelskich.* Zygmunt Gloger – jeden z założycieli w 1906 r. Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i jego pierwszy prezes – uważał: *Przed wszystkim na drodze każdego podróżnika leży jego kraj rodzinny, który poznać najpierw i najlepiej jest jego obowiązkiem.*

Na 140 lat przed powstaniem Towarzystwa Tatrzańskiego i 133 lata przed utworzeniem Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie oraz Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, w warunkach trwającego wiele lat zagrożenia bytu narodowego, ideę odzyskania niepodległości manifestowali m.in. krajoznawcy, ale właśnie w rozwijającym się ruchu umysłowym, a więc nie tylko w walkach powstańczych czy spiskach politycznych. Symbolami i swoistymi punktami odniesienia w tysięcznych poczynaniach krajoznawców byli liczni wybitni Polacy, m.in. genialny kompozytor Fryderyk Chopin, a także badacz i kolekcjoner przejawów polskiej sztuki narodowej Oskar Kolberg.

Miejsc kultowych związanych z Fryderykiem Chopinem jest w kraju co najmniej kilkadziesiąt, a wypada doliczyć do nich ośrodki popularyzacji muzyki, miejsca ustalonych, także w kalendarzach turystycznych, koncertów i festiwali muzycznych. Dodajmy do tego liczne pomniki wybitnego Polaka, szkoły jego imienia, ulice i place, tysiące tomów rozmaitych wydawnictw – wśród nich także te, które zaliczamy do „podręczników krajoznawstwa”, przewodniki czy płyty fonograficzne. Bez obawy o wielki błąd można powiedzieć, że wycieczki powiązane z muzyką (nie tylko Chopina), to wycieczki z grupy turystyki kwalifikowanej, podobnie jak przyrodnicze czy o tematyce folklorystycznej, nastawione na poznawanie rodzimej kultury.

Do najbardziej znanych należy organizowany od 1927 r. co pięć lat Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Wypada wspomnieć, że tuż po zakończeniu II wojny światowej, od 1946 r., organizowany jest Międzynarodowy Festiwal Chopinowski w Dusznikach Zdroju. Od 1967 r.

odbywa się Festiwal Pianistyki Polskiej w Słupsku, a do najbardziej znanych zaliczany jest Międzynarodowy Festiwal „Chopin w barwach jesieni” w wielkopolskim pałacyku Radziwiłłów w Antoninie.

Ważnym wydarzeniem w życiu 14-letniego Fryderyka było spędzenie części wakacji 1824 r. w XVIII-wiecznym dworze w Sannikach, wspólnie ze szkolnym kolegą Konstantym Prusakiem. Ta wieś w 2018 r. odzyskała prawa miejskie i herb. Obecnie dwór w Sannikach to Europejskie Centrum Artystyczne im. Fryderyka Chopina, zaś przed budynkiem stoi pomnik „idącego Chopina”, dzieło Ludwiki Nitschowej, autorki warszawskiej Syreny.

Podobny charakter miał pobyt wakacyjny 18-letniego Fryderyka w dworku Dziewanowskich w kujawskiej Szafarni. Współ z kolegą gimnazjalnym Dominikiem Dziewanowskim chętnie jeździł konno, odwiedzał wiejskie karczmy i słuchał ludowych kapel. Wydawał też pisaną własnoręcznie gazetkę „Kurier Szafarski”.

Wycieczki krajoznawcze z muzyką (nie tylko polską) i kompozytorami jako tematami przewodnimi, nie są już czymś nadzwyczajnym. Mamy wielkie wydarzenia o znaczeniu międzynarodowym, ale i lokalne popisy utalentowanych młodych muzyków, konkursy kapel wiejskich i inne tego rodzaju stałe pozycje w kalendarzach kulturalnych mnóstwa małych, nikomu nieznanymi gmin. Wycieczki takie i wiele innych „z tematem przewodnim” są jedną z cech charakterystycznych w poczynaniach organizatorskich PTTK, wzorujących się na przykładach sprzed lat, jak ta druga z kolei wycieczka „w nieznane”, poprowadzona przez założycieli PTK pod koniec września 1907 r. do wtedy nieznanego wsi Żelazowa Wola.

Czy uprawnione jest przypuszczenie, że wypraw „z tematem” i bez takiego wyróżnika odbyło się co najmniej kilka milionów? Nikt tego nie policzył, ale wypada przytoczyć oficjalne statystyki mówiące o działalności organizatorskiej PTTK, na dowód, że „jest ruch w interesie”. Inicjatywę z natury rzeczy mają przewodnicy i przodownicy wielu dyscyplin turystyki kwalifikowanej. W tabelach ukazuje się obraz – dla jednych optymistyczny, dla innych „mizéria” i zastój – godny choćby chwilowej uwagi. Oto w sprawozdaniach statystycznych z 2016 r. obrazujących dokonania Towarzystwa w zakresie 13 dyscyplin turystyki kwalifikowanej nie znajdziemy imponujących liczb, czyli – jak to się mówi – „szału nie ma”. Ale zajrzyjmy do tabel...

Warto zwrócić uwagę na statystykę wycieczek organizowanych przez PTTK w latach 2015 / 2016. Zarejestrowanych jest (w 13 grupach turystyki kwalifikowanej) w sprawozdaniach odpowiednio: 5818 / 5733 wycieczek nizinnych, 4037 / 4201 wycieczek górskich, z udziałem 569105 / 582022 tys. turystów ogółem we wszystkich wycieczkach, w tym nizinnych 245147 / 234455 tys. Na pewno część z tych wypraw miała choćby małe elementy dotyczące muzyki Chopina i odbyła się do miejsc związanych z jego życiem i twórczością bądź z polskim życiem kulturalnym i artystycznym w XIX, XX i XXI stuleciu. Podobne rozróżnienie, nie tylko statystyczne, ale i tematyczne czy jakościowe, można przeprowadzić biorąc za czynnik wyróżniający przyrodężywioną oraz nieożywioną. Wszak od wielu lat istnieje popularna odznaka Turysta Przyrodnik, jest też mnóstwo szlaków i ścieżek przyrodniczych (ekologicznych, naukowych, dydaktycznych). Organizowane są wycieczki o tematyce geologicznej np. do Krzemionek Opatowskich, do kopalni ropy naftowej w Bóbrce czy Kopalni Soli „Wieliczka”, do zabytkowych kopalń złota, węgla kamiennego, do dawnych wyrobisk węgla brunatnego w parku krajobrazowym Łuk Mużakowa, ale też do beskidzkich, sądeckich mofet gazowych, do Muzeum Leśnictwa w Gołuchowie, podkarpackim szlakiem Dębów Papieskich, pod ciechocińskie tężnie... Ostatnio modne są wędrówki typu geocaching czy questing, jest nawet Odznaka Odkrywców Tajemnic „Wielkopolskie Questy”.

Na zakończenie warto wspomnieć, że wycieczka krajoznawcza na koncert fortepianowy i do miejsca urodzenia Fryderyka Chopina to zarazem wyprawa przyrodnicza po otaczającym jego dworek rodzinny parku krajobrazowym z bogatą kolekcją roślin rodzimych i obcych gatunków. Podobne przeżycia możliwe są w Słupsku, Dusznikach Zdroju, Antoninie, wspomnianych wcześniej Sannikach, Szafarni czy Brochowie. Tradycja ta miała początek 111 lat temu na Mazowszu, gdy PTK poprowadziło pierwsze „wycieczki w nieznane” – pierwszą przyrodniczą w czerwcu do Puszczy Kampinoskiej i we wrześniu tego samego roku – pierwszą „chopinowską” do Żelazowej Woli.

Tomasz Kowalik



Szlakiem Twierdzy Chełmno

Są w regionie kujawsko-pomorskim trzy nadwiślańskie pruskie twierdze, idąc od północy: Twierdza Grudziądz, Twierdza Chełmno i Twierdza Toruń. Grudziądzka i toruńska to duże założenia obronne, choć znacznie się od siebie różniące. W Grudziądzu jest duża cytadela oraz wieniec fortów i schronów, nie licząc obiektów pomocniczych. W Toruniu znajduje się kilkanaście dużych fortów, zespół budynków gospodarczych i koszarowych w centrum oraz kilkadziesiąt schronów rozmieszczonych wokół miasta, łącznie 150 obiektów. Twierdze powstawały od I połowy XIX wieku uzupełniane o nowe obiekty obronne, zgodnie z rozwojem sztuki wojennej, oblężniczej i obronnej. Najnowsze budowle i obiekty terenowe pochodzą nawet z lat 40. XX wieku – powstały pod koniec II wojny światowej. Podczas tej wojny służyły okupantowi często jako obozy jenieckie, gdzie przetrzymywani byli jeńcy alianccy, jako filie obozów koncentracyjnych lub obozy przejściowe. Niektóre budowle wykorzystywane są do dziś przez wojsko.



Zalany schron amunicyjny

Twierdza Chełmno przedstawia się skromniej od grudziądzkiej i toruńskiej, jest też od nich młodsza. Rozwój założenia obronnego przypada na początek wieku XX, a koniec mniej więcej na rok 1915. Obiektów jest tu znacznie mniej, są też dużo mniejsze. Najwyraźniej twierdzę tę zbudowano jako uzupełnienie linii obrony wzdłuż Wisły. Co ciekawe, w odróżnieniu od Grudziądza i Torunia, w samym Chełmnie nie ma budowli obronnych. Jest to twierdza polowa. Forty i schrony otaczają miasto łukiem w odległości ok. 4–6 km od centrum. W skład twierdzy wchodzi 8 fortów, kilkanaście schronów piechoty i amunicyjnych, wozownia artyleryjska i cztery baterie artylerii. Większość obiektów zachowała się dość dobrze, kilka



Izba w schronie IR IV

jest zagospodarowanych, kilka całkowicie zarośniętych i częściowo zrujnowanych. W Forcie VII mieści się ośrodek szkoleń strzeleckich, w VIII gospodaruje Stowarzyszenie Twierdza Chełmno.

Proponuję odwiedzenie południowej części twierdzy, na południowy zachód i zachód od wsi Stolno. W samym Stolnie 50 m od kościoła znajduje się pierwszy schron, który można zwiedzić, chociaż jego otoczenie jest mało sympatyczne (śmieci). Z centrum wsi idziemy obok szkoły drogą DW 548 w kierunku Wąbrzeźna, mijamy kościół i zaraz po lewej stronie w kępie drzew znajdziemy ów schron (schron piechoty IR 5). Zasadnicza trasa wiedzie jednak w inną stronę. Wracamy do centrum Stolna, idziemy 100 m w kierunku południowym (na Toruń – DK 91), po czym skręcamy w prawo na drogę Stolno – Małe Czyste. Dosłownie po 150 m od zejścia z DK 91 mijamy gospodarstwo, za którym „ukrywa się” kolejny schron – amunicyjny nr 9. Trzeba pójść kilkadziesiąt metrów w prawo przy płocie. W zagłębieniu terenu wśród drzew i zarośli znajduje się tam betonowy schron, niestety niedostępny, ponieważ zalany wodą do wysokości ok. 1 m. Wracamy do drogi. Idąc dalej w kierunku Małego Czystego po 500 m dochodzimy do polnej drogi biegnącej w lewo na skos. Doprowadza ona do dwóch obiektów. Jest to Fort IV i schron piechoty IR 4. Oba można zwiedzić dokładnie. W schronie piechoty zobaczymy izby żołnierskie ze zrekonstruowanymi kominkami. Przy budowlach znajdują się tablice informacyjne opisujące twierdzę. Polną drogą na zachód wracamy do „asfaltówki”, którą docieramy do wsi Małe Czyste. W pobliżu znajduje się jeszcze bateria 3 i schron amunicyjny nr 7. Idziemy dalej przez wieś asfaltową drogą na południe, w kierunku Wielkiego Czystego. Po lewej stronie mamy widok na Jezioro Czyste leżące w dolince. 500 m od



Schron piechoty IR IV



Krajobraz przełomu Browiny



Fort II

skrzyżowania w centrum wsi, 200 m za zakrętem, szukamy polnej drogi odchodzącej w prawo (przy domu nr 85). Idziemy nią dość długo na zachód w kierunku przełomu rzeczki Browina (Fryba). Najpierw po 200 m zobaczymy po prawej stronie, pośrodku pola, wał roślinności. To ukryty w ciemnych zaroślach i drzewach Fort III. Próba dostania się na jego teren raczej się nie uda, chyba że z pomocą oddziału zaopatrzonego w maczety. Probowałem – nic z tego. Mijamy więc to miejsce i podążamy lekko wznoszącą się drogą. Z prawej strony widać i słyszeć dwa elektro-wiatraki; po 0,7 km kończy się prosty odcinek, a na wprost ujrzymy malownicze wzgórze nad przełomem Browiny.



Fort I

Krajobraz całkiem inny niż do tej pory. Droga skręca w lewo (na południowy zachód) i zagłębia się nieco w płytki wąwozek. Schodzimy na dno doliny Browiny, po czym raptownie skręcamy w prawo na północny zachód. Idziemy chwilę wzdłuż stawu, mijamy gospodarstwo i skręcamy w lewo, na most nad Browiną, przed drugim gospodarstwem. Droga staje się piaszczysta i dość mocno się wznosi. Wkrótce zobaczymy na wzniesieniu na środku pola znajomy widok – wał roślinności. To Fort II, do którego można dojść od strony południowej drogą przez łąkę. Droga okrąża fort od wschodu, po czym zbiega na fortowy majdan od północy. Fort II jest w dobrym stanie i służy za magazyn środków ochrony roślin, dlatego jest zamknięty i niedostępny. Widzimy tylko jego system wentylacji, nawietrzaki w murze od strony majdanu i kominki wentylacyjne wystające ponad strop. Jednak warto tu przybyć z racji łatwego dojścia i uporządkowanego terenu. Doskonale widać czytelne założenie fortu i otoczenia. Wracamy do drogi, którą przyszlismy i kierujemy się nią na zachód, ku widocznym już zabudowaniom wsi Dorposz Szlachecki i Watorowo. W linii prostej to dwa kilometry, ale do przejścia jest sporo więcej. Naszym celem jest Watorowo i położony 0,5 km za wsią Fort I. Licząc od fortu II, droga wiedzie prosto przez 0,3 km i skręca pod kątem prostym w lewo. Od zakrętu jeszcze 200 m na południe i kolejny zakręt w prawo na zachód, na dobrą „gruntówkę”. Po kolejnym 0,5 km skręcamy w prawo wzdłuż kanału. Niecały kilometr przed nami widać wśród pól kępę drzew. To znak, że znajduje się tam kolejny obiekt Twierdzy Chełmno. Jest to schron piechoty UR 1. Stoi 100 m za skrzyżowaniem polnych dróg. Dojście do niego może być problematyczne i zależy od tego, co rośnie na polu. Na skrzyżowaniu skręcamy w lewo i po kilku minutach osiągamy Watorowo. We wsi stoi tablica informacyjna o twierdzy i jej okolicznych obiektach. Idziemy 200 m w lewo, po czym skręcamy na brukowaną drogę w prawo ku zachodowi. Jest to znakomicie zachowana droga forteczna łącząca Watorowo z wsią Kiełp, gdzie znajdują się najdalej na zachód wysunięte schrony



Wnętrze Fortu I

piechoty IR 1 oraz IR 2. W okolicy są także dwa schrony amunicyjne i wozownia artyleryjska (Starogród, Brzozowo). Idziemy tą drogą przez 0,5 km mając po prawej stronie lotnisko sportowe. Spotykamy odchodzącą prostopadle drogę w szpalerze drzew, która doprowadza do Fortu I. Jest dobrze zachowany, można go bezpiecznie obejrzeć na zewnątrz i w środku. Po zwiedzeniu wracamy do Watorowa na przystanek autobusowy.

Powyższa trasa pozwala na poznanie sporego fragmentu Twierdzy Chełmno i nieprzypadkowo prezentuje taki właśnie odcinek. Jest to bowiem trasa półdniowa, ograniczona dojazdem i powrotem autobusem kursowym z Torunia. Zatem bawiąc

w Toruniu (np. kwaterując w hostelu w Forcie IV) można zorganizować sobie taki forteczny wypad. Wyjazd z dworca autobusowego o 8.45 do Stolna, powrót z Watorowa do Torunia o 14.18; czas przejazdu ok. 50 minut.

W sieci nie brakuje materiałów dotyczących twierdzy, wystarczy wpisać w wyszukiwarce internetowej „Twierdza Chełmno” i każdy zainteresowany znajdzie tam wiele informacji i zdjęć. Wszystkie obiekty pokazano na mapie „Okolice Bydgoszczy i Torunia” w skali 1:75 000 wydawnictwa ExpressMap.

Juliusz Wyslouch



Droga forteczna

Cytat miesiąca

Prasa i media elektroniczne po swojemu kreują rzeczywistość. Czasem autorzy wykazują się niewiarygodną znajomością języków obcych. Autor prawdopodobnie zastosował tzw. skrót myślowy – oto wierzchołek Babiej Góry nosi nazwę Diablak (niem. Teufelspitze). Może autor tej notki nie lubi kobiet, ale żeby aż tak? Czy baba = diabeł? Chyba przesadził. Oto próbka.

31.12.2014

*Uważaj turysto! **Babia Góra** może Cię zabić. Nie bez przyczyny po niemiecku nazwa ta oznacza Diabelski Szczyt.* www.fakt.pl



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Malarstwo zachodnie w Kijowie

Prócz kijowskich muzeów, które opisałem ostatnio (*NS e-139 2018-05 i poprzednie*), na wyróżnienie zasługuje Muzeum Sztuki Zachodniej i Wschodniej imienia Bohdana i Warwary Chanenکو, zlokalizowane tuż przy parku z pomnikiem Tarasa Szewczenki, naprzeciw czerwonego gmachu Uniwersytetu Kijowskiego. Podstawą kolekcji dzieł sztuki były obrazy zgromadzone w ciągu 40 lat przez mecenasów sztuki – Bohdana Chanenkę (1849–1917) i jego żonę Warwarę (1852–1922) – i przekazane w testamencie miastu. Od powołania muzeum w 1919 r. jego kolekcja powiększyła się 13-krotnie, a część zbiorów jest wystawiana w pomieszczeniach pałacu Chanenków (z 1887 r.) wkomponowanego w pierzeję ulicy. Jest to największa kolekcja sztuki z krajów Europy Zachodniej na Ukrainie.

W muzeum eksponuje się sztukę z różnych okresów: średniowiecza, renesansu, baroku, rokoka, klasycyzmu. Są tu jedyne na Ukrainie dzieła Diego Velazqueza (1599–1660) – „Portret infantki Małgorzaty”, Gentile’a Belliniego (1429–1507) – „Portret patrycjusza”, jego brata Giovanniego Belliniego (1420–1516) – „Madonna z Dzieciątkiem”, Pietra Perugina (1450–1523) – także

„Madonna z Dzieciątkiem”. Francisco Goya (1746–1828) przedstawiony został swoją serią graficzną „Okrucieństwa wojny”. Reprezentowani są: Pieter Bruegel młodszy, Wilhelm Busch, Jacques Louis David, Francesco Guardi, Frans Hals, Jacob Jordaens, Alessandro Magnasco, Peter Paul Rubens, David Teniers, Francisco de Zurbarán. W sali-kaplicy pokazuje się 5 ikon bizantyjskich z VI–VII w., ocalałych na Synaju podczas ruchu palenia ikon chrześcijańskich. Przywiózł je stamtąd do Kijowa w XIX w. jeden z mnichów Peczerskiej Ławry. W muzeum wystawia się pejzaże z XV–XX w. autorów chińskich, japońskich i indyjskich. W ekspozycji pokazuje się kolekcję majoliki włoskiej, porcelany miśnieńskiej, fajansu chińskiego, ceramiki irańskiej i ksylografii japońskiej. Eksponowane dzieła obejmują okres od IV tysiąclecia p.n.e. do czasów nowożytnych.

Oglądając dzieła można korzystać z nagranych objaśnień przewodnika. Muzeum organizuje wśród eksponatów spektakle dla dzieci „Siedem podróży żeglarza Sindbada”; urządza dla dorosłych „Muzyczne sezony u Chanenki” z koncertami muzyki klasycznej; bierze udział w wystawach w kraju i za granicą, wysyłając





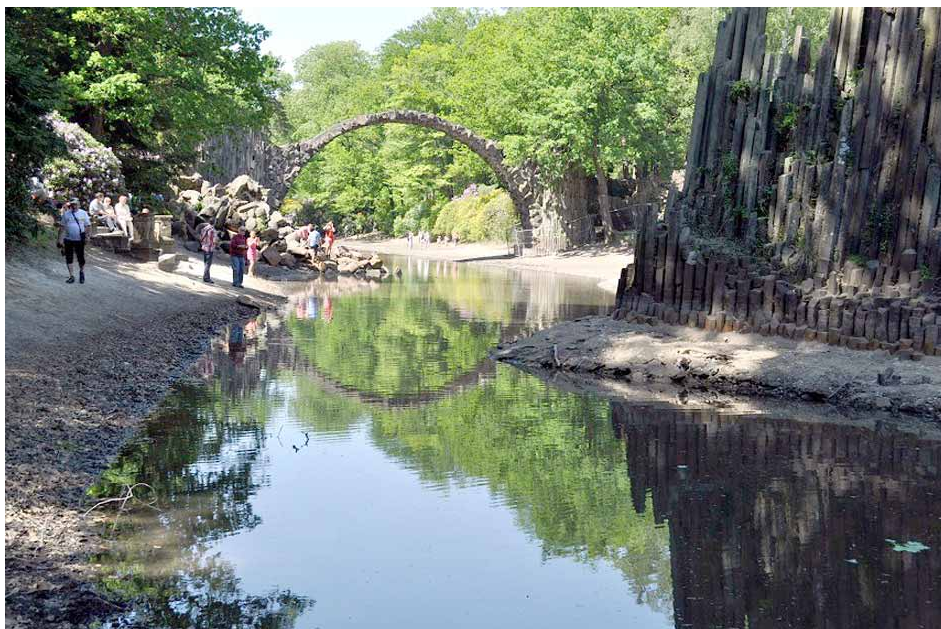
tam swoje eksponaty, zwłaszcza te, które nie mieszczą się w salach wystawowych; organizuje okresowe wystawy tematyczne z udziałem muzeów europejskich. Naukowcy skupieni w muzeum uczestniczą w historycznych konferencjach naukowych Europy, a także sami organizują coroczne „Chanenkowski czytania” na temat sztuki i jej historii. Szczególnie uroczysta była sesja ubiegłoroczna; właśnie minęło sto lat od śmierci darcyńcy pierwszej kolekcji.

Janusz Fuksa

W Parku Rododendronów w Kromlau

W maju 2018 roku zrobiliśmy weekendowy wyjazd do parku w Kromlau, ale nie jest to jedyna atrakcja w regionie Bad Muskau. Spacer po parku, szczególnie gdy jesteś pierwszy raz, nie należy do krótkich i dlatego odłożyliśmy w czasie wycieczkę do pobliskiego Parku Mużakowskiego. Mużaków od Kromlau dzieli zaledwie 10 minut drogi samochodem, ale zdecydowaliśmy się pojechać tam kolejką wąskotorową w czasie największego kwitnienia rododendronów. W dniu wycieczki panował upiorny gorąc, słońce chyba się wściekło i stwierdzam, że nadmiar światła szkodzi (nie tylko zdjęciom). Obieciliśmy park podziwiając różaneczniki (albo rododendrony, jak kto woli), drzewa i skupiska głazów.

Kluczem do sensu naszej wyprawy jest zbudowany z charakterystycznych bazaltowych kamieni przepiękny most łukowy nad jeziorem Rakotz (Rakocz) zwany także często Diabelskim Mostem (Teufelsbrücke), most nie byle jaki, bo w życiu takiego nie widzieliście. Kiedy wchodzi się do parku, przylepia się do człowieka zapach kwiatów, cały park niesamowicie pachnie i „buczy” od owadów zapylających. Najbardziej pachną odmiany żółte azalii. Na terenie parku znajduje się także Dom Kawalerski (Kavalierhaus) w stylu dworku szwajcarskiego oraz wybudowany w 1860 roku pałacyk Kromlau. Park zajmuje powierzchnię około 200 hektarów i jest dostępny dla turystów przez cały rok. Najlepiej jednak przyjechać tu latem, kiedy bujnie rozkwitają wszystkie rośliny i tworzą festiwal przecudnych barw i zapachów. Każdego roku na Zielone Świątki (50 dni



po Wielkanocy) w Kromlau organizowany jest festyn zwany „Świętem Parku i Kwiatów”.

Most Rakotza:

W 1860 roku podjął Friedrich Hermann Röttschke budowę 35-metrowego mostu przez jezioro Rakotza (*Rakotz* w języku serbsko-łużyckim to rak). Po prawie dziesięcioletniej budowie powstał półokrągły most z kamienia polnego oraz bazaltu. Łuk odbija się w jeziorze tworząc złudzenie pełnego koła. W środku jeziora została postawiona dziwaczna grupa kolumn z bazaltu zwana potocznie organami. Na budowę został wykorzystany bazalt z Saksonii Szwajcarskiej.

Park w Kromlau:

Zajmuje powierzchnię 200 ha, turyści najchętniej odwiedzają samo jego centrum skupione wokół jeziora (90 ha). Pierwsze prace nad utworzeniem parku poczyniono w 1844 roku. Wydobywanie kamienia do dekoracji parku i budowy mostu trwało aż 10 lat. Najstarsze drzewa zostały posadzone przez właściciela Friedricha Herrmanna Röttschkego w latach 1845–1870. Wiele z nich rośnie do dzisiaj. Pierwsze rododendrony przywiózł do Kromlau Georg Eichler, jeden z założycieli Niemieckiego Towarzystwa Dendrologicznego. Rośliny pochodziły m.in. z Gruzji i Kaukazu. W parku znajdują się dwa gatunki występujące tylko w Kromlau: klon naturalny hybrydowy oraz klon jawor ‘Prinz Handjery’, o liściach żółtych z czerwonym spodem.

Mużakowska Kolejka
Leśna:

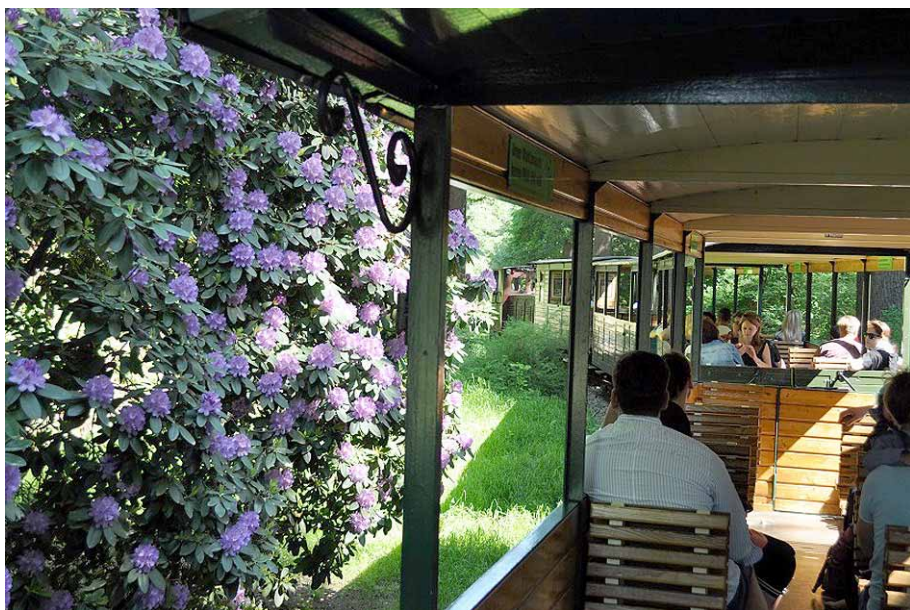
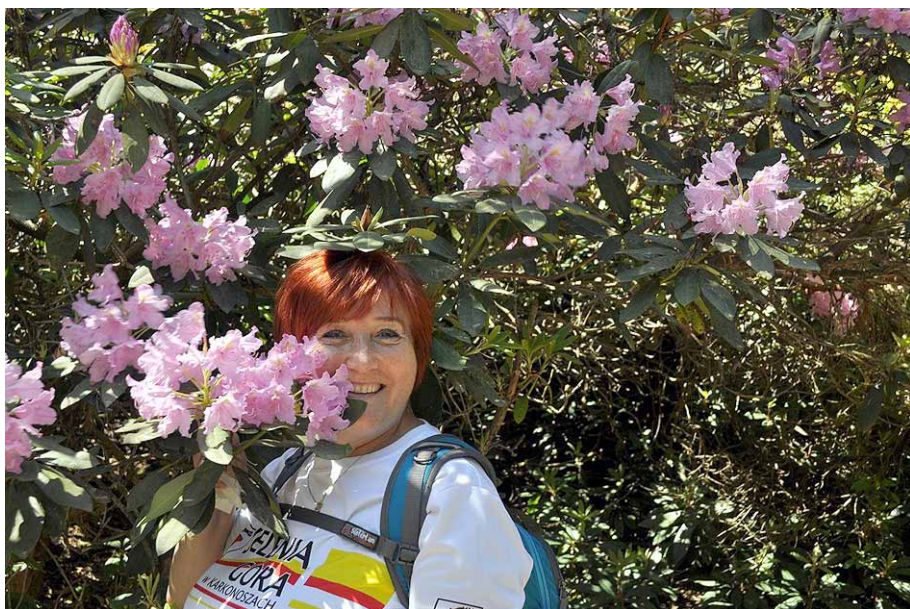
Ukształtowanie okolicy
mużakowskich gór fałdowych



z ich bogatymi skarbami naturalnymi sprzyjało ożywieniu rozwoju przemysłu w regionie pod koniec XIX wieku. W celu uporańia się z rosnącym zapotrzebowaniem na usługi kolejowe, właściciel majątku rodzowego Mużaków, hrabia Hermann von Arnim, nakazał połączenie od roku 1895 licznych swoich zakładów towarową koleją wąskotorową. Sieć „hrabiowskiej małej kolei Arnimów” szybko osiągnęła długość 80 km. W roku 1951 została ona przejęta przez kolej niemiecką. Wraz ze wzrostem znaczenia transportu drogowego doszło do zamknięcia Mużakowskiej Kolejki Leśnej w roku 1978 i rozmontowywania torów. Jedynie cegielnia w Białej Wodzie (Weißwasser) przejęła 12-kilometrowy odcinek, który pozostał i do roku 1991 utrzymywała na nim transport zakładowy. Starania o zachowanie Mużakowskiej Kolejki Leśnej jako muzeum kolei osiągnęły swój cel, kiedy w połowie lat 80. na pozostawionych torach uruchomiono specjalne przejazdy. Po roku 1991 udało się odbudować inne odcinki kolei. Tak więc w roku 1992 po raz pierwszy można było wprowadzić stały przewóz osób lokomotywami spalinowymi między Białą Wodą i Kromolą (Kromlau). Dwie lokomotywy parowe kolei leśnej, które pozostały w regionie jako zabytek, zostały przygotowane do użytkowania. W wybranych dniach można je zobaczyć w składzie pociągów osobowych lub fotograficzno-towarowych. Wystawę historycznych pojazdów szynowych w nowo urządzonym dworcu muzealnym kończy dziś unikalny pomnik techniki „Mużakowska Kolejka Leśna”. Można nią dojechać z dworca Teichstraße (ul. Stawowa) w Białej Wodzie do największego w Niemczech parku różaneczników i azalii w odległym o 4 km Kromlau. Drugim celem jest oddalony o 7 km Bad Muskau – miasto kurort w Parku Mużakowskim. Podziwiamy z wagoników piękny sosnowy las z barwnymi jeziorkami w kolorach purpury, szarości i czerwieni.

Koszt wycieczki z biletem Euro-Nysa dla pięciu osób: 75 zł.

Krzysztof Pik



Parasol przy pogodzie, rękawiczki latem, mapa w kieszeni

Zima definitywnie ustąpiła, czas odstawić zimowy sprzęt – *raki, haki, czekany i tobogany* (cytat z kabaretowego monologu) i przygotować wyposażenie do letnich wędrówek. Oczywiście, **każdy turysta wie**, jak to zrobić i nikt nie lubi być pouczany, instruowany, każdy ma swoje „patenty” i przyzwyczajenia. Jednak widząc, jak wyposażeni turyści wędrują po górach, mam pokusę przypomnienia o tym czy owym. Tę pokusę podsycają kroniki GOPR i TOPR, które od niepamiętnych czasów mówią o wciąż powtarzających się błędach osób chodzących w góry.

Rzecz zasadza się na detalach. Czasy tzw. reklamówek i teczek niesionych w rękach bezpowrotnie minęły (czy na pewno?). Te atrybuty zakładowych wycieczek zastąpiły walizki na kółkach ciągnięte po bruku drogi w Dolinie Chochołowskiej. To nie żart – sam widziałem. Panie w półbucikach na pół-słupku walczyły z chochołowskim brukiem, panowie także, ale taszczyli walizki w rękach. To niezły wyczyn na tej 11-kilometrowej trasie do schroniska na Chochołowskiej. Bruku jest mniej, ale i tak wystarczy, żeby wyleczyć się z takich wycieczek. No, ale gdy firma organizuje wyjazd integracyjny, to trzeba jechać. Przez dziesięciolecia niewiele się zmieniło, chodzi o podejście do górskiej eskapady. Oto sceny z filmu Ewy Petelskiej z roku 1950. Tytuł filmu „Wczasy pracownicze”. Lektor mówi: *Ubiór na wycieczkę powinien być lekki i przewiewny*. Widzimy wczasowiczów na wycieczce gdzieś w Tatrach. Wyglądało mi to na Sarnią Skałę, ale mogę się mylić. Wycieczkowicze maszerują drogą w dolinie, potem tyralierą podchodzą trudniejszym terenem, jakiś uprzejmy wczasowicz podaje pomocną dłoń koleżance wspinającej się po wapiennej skale. Widać zwiewne sukienusie w groszki i stopy obute w pepegi. Panowie w półbutach, w najlepszym razie w trampkach.

Zostawmy te nieszczerne walizki, torby, pepegi i wczasy pracownicze zastąpione przez wyjazdy integracyjne. Sklepy są pełne wszelkiego sprzętu turystycznego. Ubiorów i akcesoriów jest „po sufit” i to na każdą kieszeń. Przeciętny turysta wie mniej więcej, jak się spakować na wędrówkę, większość nosi przyzwoite plecaki i chodzi w porządnym butach. Można uznać, że ogólnie jest nieźle. Jednak o wygodzie, bezpieczeństwie i komforcie psychicznym często decydują detale. Te detale, te przeważnie niewielkie przedmioty, bywają pomijane przy pakowaniu plecaka lub zapomina się o nich. Warto przypomnieć o tym po raz n-ty, bo z własnego doświadczenia i obserwacji wiem, że w praktyce bywa bardzo różnie.

Choć wydaje się to niemożliwe, są osoby wychodzące w góry bez **mapy**. Prawdopodobnie uważają, że do przejścia wystarczą turystyczne drogowskazy i oznakowanie szlaków. Sporo osób ma mapę w formie elektronicznej w telefonie lub innym podręcznym urządzeniu. Inni ślepo wierzą nawigacji GPS. Pewnie to i dobre, ale tylko do chwili wyczerpania się baterii. Nawigacja satelitarna już niejednego wyprowadziła tam, gdzie wcale nie chciał dojść. Choć niektórzy zazgrzytają zębami, ja twierdzę, że **tradycyjnej mapy nic nie zastąpi**, zwłaszcza szczegółowej, w dobrej skali. Oczywiście sam fakt posiadania mapy jeszcze niczego nie ułatwia, potrzebna jest umiejętność jej czytania. Z mapy naprawdę można wyczytać niemal wszystko, co czeka turystę na szlaku.

Mapie do towarzystwa dodajemy **kompas**. Taki najprostszy, byle wskazywał północ. Wyznaczenie tego kierunku niemal w każdej sytuacji zgubienia szlaku pozwoli na dotarcie, jak nie do zamierzonego celu, to w dolinę, do wsi, do przystanku. Pozwoli na zorientowanie się w terenie, na obranie właściwego kierunku, choćby droga wiodła przez chaszcze, gęsty las, strome zbocze, byle dotrzeć do znakowanego szlaku, który już na pewno poprowadzi tam, gdzie chcemy.

Przy pogodzie noś **parasol**, także w górach. Oczywiście nie w terenie skalnym i eksponowanym, ale na niemal wszystkich beskidzkich i sudeckich szlakach doskonale się sprawdza. To żadna śmieszność i obciach. Mały składany parasol, taki za 10 zł z marketu, niemal całkowicie „załatwia” nam ochronę przed deszczem. Może „mieszkać” w bocznej kieszeni plecaka będąc w każdej chwili w zasięgu ręki. I nawet nie będzie go żal, gdy przez nieuwagę zostawi się go gdzieś w schronisku czy na przystanku.

Zimą, wiosną, jesienią, a także latem trzeba mieć w górach **rękawiczki**. To, że zimą, to oczywiste, ale żeby latem? Owszem, tak. Ja zwykle mam założone rękawiczki rowerowe (zabieram te bardziej wysłużone),

a cieplejsze są w kieszeni plecaka. Niektórzy moi klubowi znajomi też tak robią. Bywa, że idąc musimy pokonywać jakieś wiatrołomy, czy podobne przeszkody, wchodzimy w teren skalisty, wtedy ochrona dłoni jest wskazana. Ciepłe rękawiczki bardzo się przydają przy załamaniu pogody, gdy temperatura spada o kilkanaście stopni.

Towarzyszką rękawiczek jest **czapka**, a właściwie dwie czapki. Jedna lekka z daszkiem (lub kapelusz), chroniąca przed słońcem i podtrzymująca kaptur kurtki, gdy pada deszcz. Druga ciepła (na uszy), zapewniająca komfort cieplny przy nagłym ochłodzeniu. Pamiętajmy, że nawet w lipcu wczesnym rankiem w Beskidach może być raptem 5 stopni powyżej zera.

Na każdej wycieczce, czy to jednodniowej „na lekko”, czy na przejściu między schroniskami, trzeba mieć **latarkę czołową**. Znowu wyważam otwarte drzwi – przecież każdy o tym wie. Czyżby? Skąd zatem częste doniesienia w kronikach służb ratunkowych o tym, że turyści wzywali pomoc: *Nie mamy światła i nie widać szlaku*. Takich wezwań jest niezwykle dużo. Jedynym problemem turystów jest wtedy nie kontuzja, wypadek, zaślabnięcie, choroba czy trudności terenowe, tylko brak światła. Gdy świeci słońce, powiewa lekki zefirek, a nad głową niebo przejrzyste (lub gwiazdzone) i przez tydzień pobytu w górach mamy taką pogodę, nadchodzi myśl taka: *Po co ja to wszystko brałem*? Ano po to, że nie można mieć 100% pewności, że każdy turystyczny dzień będzie tak wyglądał. Bywają jednak nagle załamania pogody, co pod koniec dnia – wieczorem, gdy robi się ciemno, zimno, zmęczenie daje znać, a do schroniska daleko – sprawia, że miła wędrówka zamienia się w dość przykrą przygodę. Są w Beskidach leśne odcinki szlaków, gdzie nawet za dnia jest ciemno, a co dopiero wieczorem, przy zachmurzeniu. Często ich przebieg jest dość skomplikowany i łatwo zejść ze szlaku na jakąś boczną ścieżkę prowadzącą wszędzie, tylko nie do zamierzonego celu. Zatem latarka jest jednym z niezbędnych elementów wyposażenia, o czym wciąż przypominają górcy ratownicy na plakatach umieszczanych w schroniskach. Dlaczego niektórzy turyści to ignorują? Nie wiem.

Gdy dojdzie do sytuacji wymagającej awaryjnego biwaku, niezbędne będzie **źródło ognia**. Jeśli pozwala na to otoczenie, można rozpaść niewielkie ognisko, które zapewni ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Oczywiście ogień trzeba kontrolować, by nie spowodować pożaru. Miejmy więc w pogotowiu zapalniczkę lub zapalki opakowane w foliowy woreczek, np. tzw. „dilerówkę”. Jeśli turysta niesie w plecaku przybory kuchenne, może przygotować ciepły posiłek, bez zapalek to się nie uda.

Awaryjny biwak łatwiej znieść, gdy mamy coś nad głową, coś co chroni przed deszczem. Może to być **foliowa plachta** 2 x 2 m z przywiązanymi do narożników sznurkami, każdy długości nie mniej niż 1 m. Rozpinamy ją między drzewami i już mamy namiastkę dachu. Plachtę, podobnie jak latarkę czy rękawiczki, wkładamy do kieszeni bocznej lub w kłapie plecaka. Gdy nie pada, można użyć folii do wyłożenia miejsca, na którym przyjdzie nam posiedzieć jakiś czas.

Podczas wędrówki różne rzeczy się zdarzają – drobne urazy, skaleczenia, stłuczenia. Nie zapominajmy o **podręcznej apteczce**, w której znajdują się: plastry (z opatrunkiem i przylepiec), opaska (bandaż), woda utleniona, żel do wcierania w miejsce urazu (np. Dolgit, Altacet, Dicliziaja), Fenistil łagodzący świąd po ukąszeniu przez owady, folia NRC (termiczna). Nie zawsze trzeba wzywać GOPR, warto też przypomnieć sobie podstawowe wiadomości dotyczące pierwszej pomocy (ulotki o tej tematyce są wyłożone w każdej aptece i przychodni).

Nasz ubiór powinien gwarantować wygodę i bezpieczeństwo. Zapewne każdy o nie dba, nie można jednak przewidzieć, czy nasze niezawodne buty, dzielnie spisujące się w każdym terenie, nie osiągnęły kresu wytrzymałości. Bywa, że w najmniej spodziewanej chwili odklei się podeszwa i „pokażą zęby”. Co robić? Doraźnie obwiążmy but dookoła sznurowadłem (z pewnością wytrzyma nawet kilka godzin marszu), a w schronisku, po wysuszeniu i oczyszczeniu, spróbujmy go skleić w całość. Warto mieć pod ręką ze 3 tubki **kleju** typu Super Glue, który czasem można kupić w schronisku (choć rzadko), ale przechodząc przez wieś kupimy go w każdym sklepie. Ostatnim drobiazgiem są zapasowe mocne **sznurowadła**, które nie tylko zastąpią te zerwane, ale związane mogą posłużyć jako linka do suszenia ręcznika, wypranej koszulki itp.



Juliusz Wyślouch

Karkonosze na dawnych mapach, rycinach i litografiach

W czwartek 3.05.2018 r. w Bukowcu miało miejsce otwarcie wystawy Petera Bergmanna „Karkonosze na dawnych mapach, rycinach i litografiach”. Organizatorem wystawy był Związek Gmin Karkonoskich, który nie tylko udostępnił autorowi pomieszczenia pałacowe, ale także przygotował reprodukcje i zrealizował całość.

Wystawa jest niejako uzupełnieniem wydanej przez Petera Bergmanna książki „Karkonosze na dawnych rycinach i litografiach”, w której ukazał prace mistrzów miedziorytu, stalorytu, drzeworytu i litografii, tworzących w Karkonoszach. Dzięki tym pracom możemy zobaczyć jak wyglądały nieistniejące już obiekty. Tym razem autor wzbogaca całość poprzez zaprezentowanie oryginalnych map tych terenów.

Peter Bergmann opowiedział o swojej pasji, o tym ile wysiłku kosztuje go pozyskiwanie kolejnych obiektów. Uświadomił także obecnym, jak wiele trzeba włożyć pracy, by dowiedzieć się, że jakieś dzieło w ogóle istnieje. Później – ile trzeba poczynić zabiegów w celu pozyskania środków na jego nabycie i wreszcie opraco-



wania pozyskanego dokumentu, by móc powiedzieć o nim coś konkretnego. Kolekcja, która została udostępniona w pałacu w Bukowcu, to dzieło życia Bergmanna. Zaprezentowano na niej prawie 80 obiektów, do tego kilkadziesiąt map i różnych drobiazgów. Całość została dokładnie opisana i ponumerowana oraz spisana w specjalnie wydany katalog. Nie ma zatem problemu z interpretacją eksponatów.

Jeśli chodzi o poszczególne dzieła, to w kolekcji znajduje się sporo nieznanych ogółowi, wyjątkowych prac. Bardzo ciekawe są miedzioryty przedstawiające zamek Chojnik. Ich autorami są F. A. Tittel, C. T. Mattis i A. L. Richter. Gratkę stanowi miedzioryt I. G. Endera przedstawiający widok Chojnika sprzed pożaru. W zbiorach mamy przedstawienia schronisk turystycznych, takich jak: Strzecha Akademicka, Samotnia, Petrowka, Luční boudy. Są też przedstawienia wielu miejscowości, liczne krajobrazy, zamki, wąwozy, wodospady czy skałki i szczyty.

Wystawa będzie dostępna do 31 sierpnia 2018 roku.

Krzysztof Tęcza



NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Wiesiu zaprasza do Puszczy Kampinoskiej

Polska składa się z miejsc niezwykłych!

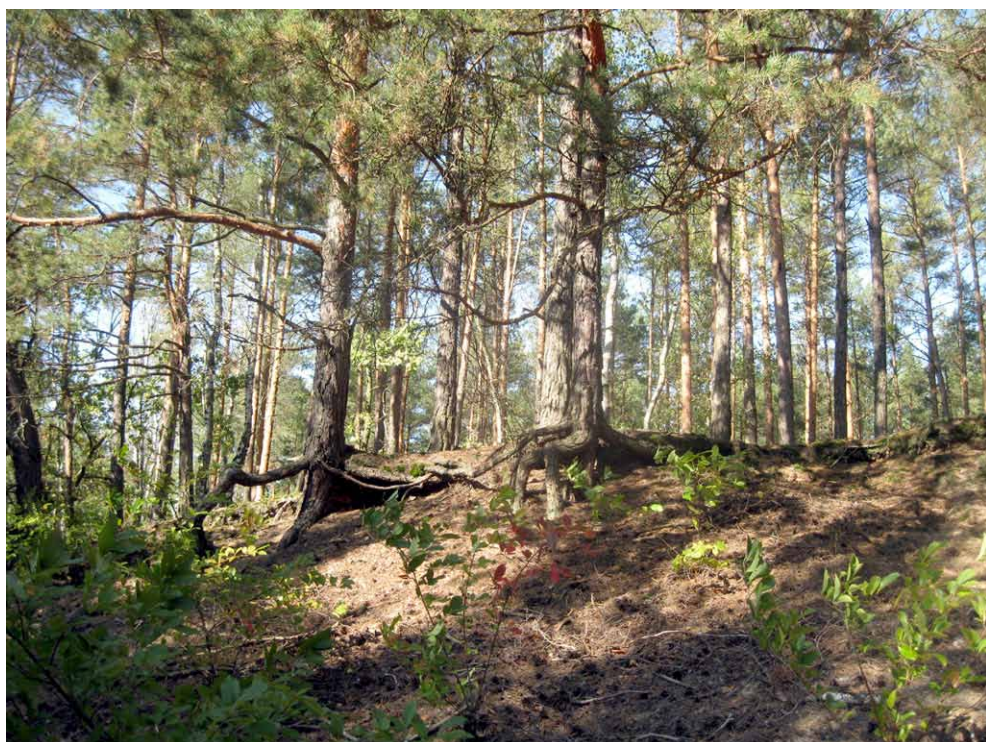
W tym krótkim zdaniu nie ma krzty przesady, ani tak modnego ostatnio zadęcia. Każdy, kto choć trochę poznał Polskę, kto choć w niewielkim stopniu interesuje się przyrodą, kulturą i historią naszego kraju, wie o tym. Nasza turystyczna rodzinka jeździ po Polsce, delektuje się jej pięknem i niezwykłością. Wielu z nas oczywiście poznało w czasie swoich wędrówek mnóstwo innych miejsc, które nie leżały na naszych wspólnych szlakach. Ale już choćby podczas tych prawie czterdziestu wspólnych wędrówek doświadczamy wciąż na nowo prawdziwości tego twierdzenia. Polska naprawdę składa się z miejsc niezwykłych!

I w takie właśnie miejsce niezwykle zaprosił nas nasz wierny przyjaciel, zapalony krajoznawca i górolaz, pomysłodawca naszych spotkań – Wiesiek Bratkowski z Warszawy. Rzeczywiście, przyjechaliśmy na jego zaproszenie do miejsca dla ludzi z małą wyobraźnią wręcz „niemożliwego”. Naprawdę – trudno sobie wyobrazić takie współistnienie dzikiej przyrody, kultury najwyższej i historii wzniosłej z jednej strony i trudnej do okiełznania cywilizacji z drugiej. Czas najwyższy nazwać to miejsce niezwykle. Otóż Wiesiek zaprosił nas do Puszczy Kampinoskiej objętej ochroną prawną przez Kampinoski Park Narodowy. To jeden z nielicznych przypadków na świecie, gdy park narodowy graniczy ze stolicą państwa. Nie wiem, jakie są pozostałe takie stolice, ale zdaję sobie sprawę, że taki fakt poraża nasze zdroworozsądkowe myślenie. No bo jak to – wystarczy wsiąść w Izabelinie, stolicy Parku, do autobusu, przejechać kilka przystanków i... znaleźć się, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w krainie smogu, hałasu niewyobrażalnego i cywilizacyjnego pośpiechu?! Naszą bazę umieścił Wiesiek właśnie w Izabelinie, w schronisku usytuowanym w budynku będącym siedzibą dyrekcji i administracji Kampinoskiego Parku Narodowego. Izabelin leży we wschodniej części puszczy, więc poznawaliśmy bardzo ciekawy jej fragment położony między Izabelinem, Sierakowem, Palmirami i Truskawiem. Jest to niewielki kawałek puszczy, rozciągającej się od Warszawy aż prawie pod Czerwińsk nad Wisłą, Brochów i Żelazową Wolę. Nasze wędrowanie miało przede wszystkim charakter „przyrodopoznawczy”, ale poznaliśmy też miejsca oznaczone tragicznymi wydarzeniami z historii.

Przewodnikiem po puszczy i jej przyrodzie był leśnik KPN – pan Mariusz Morkowski. Jego ogromna wiedza przyrodnicza i wprost niezwykle umiejętności jej przekazywania sprawiły, że miał w nas wiernych słuchaczy, nienarzekających na chłód i długą wędrówkę.

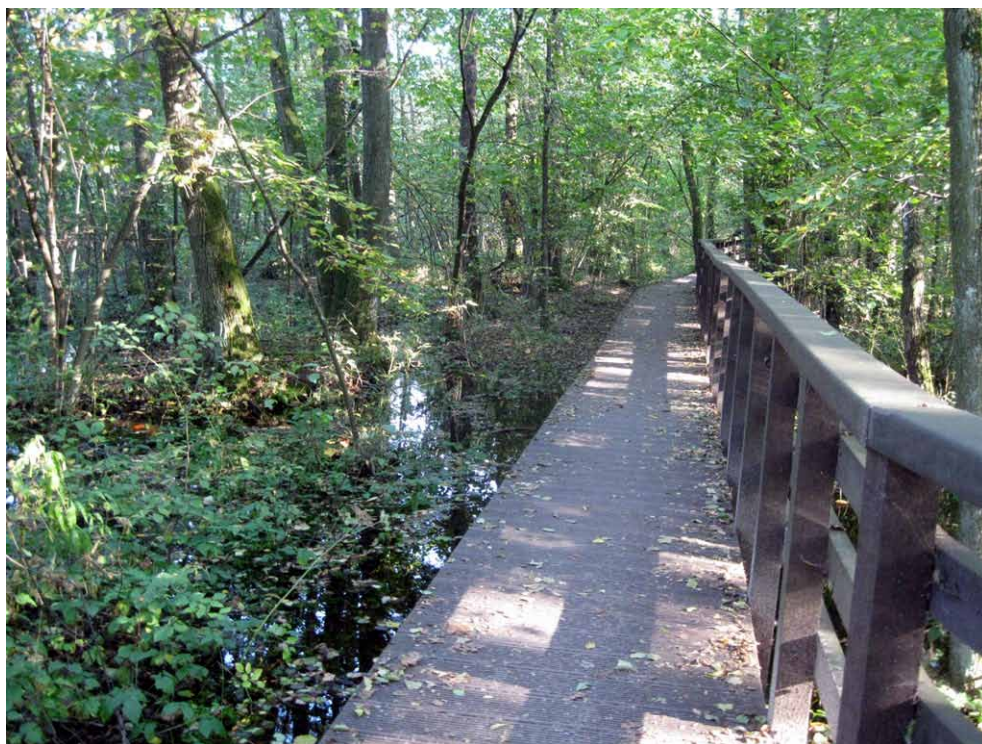
Kampinoski Park Narodowy powstał w 1959 roku, głównie dzięki staraniom profesorów Jadwigi i Romana Kobendzów. Głównym celem i zadaniem Parku jest ochrona unikatowego kompleksu wydmy śródlądowych i obszarów bagiennych, bogatej flory i fauny, jak też miejsc i obiektów będących pamiątkami polskiej kultury i historii. Kampinoski Park Narodowy, jako najwyższa forma zinstytucjonalizowanej ochrony przyrody chroni dzieło lodowca, ostatniego, który zawitał „do nas” z dalekiej Skandynawii. Lodowiec ten otrzymał nawet imię Vistulian.

Ponad 100 tys. lat temu rozpoczął on swą wędrówkę na południe, ale nie zaszedł zbyt daleko. 20 tys. lat temu zatrzymał się mniej więcej na linii dzisiejszej Wisły (stąd jego imię), a po kolejnych kilku tysiącach lat (dokładniej ok. 11,5–12 tys.) rozpoczął odwrót, pozostawiając nam w spadku pięknie ukształtowaną środkową i północną



Kroczące po wydmach sosny

Polskę, z licznymi morenami, wydmy, jeziorami i innymi pamiątkami. Obszar między lewobrzeżną Wisłą, Warszawą i Bzurą jest szczególnie ze względu na jego pasmowy charakter, co w terenie oznacza położone naprzemiennie pasma wydmy i bagnisk. Układ ten to robota lodowca i płynącej u jego podnóża Prawisły, która wiele razy zmieniała swoje koryto, niosąc zarazem olbrzymie ilości piasków i żwirów. Z tych piasków i żwirów powstały pasy wydmy, a w opuszczonych korytach rozsiadły się bagna. Efekty tych procesów widzieliśmy na własne oczy i pokonaliśmy na własnych nogach.



Ols bagienny

Niektóre wydmy osiągają wysokość względną 20–40 m, jest więc już namiastka wchodzenia na szczyt. Doświadczaliśmy tego szczególnie idąc od Palmir w kierunku Truskawia. Na takich wydmach dość osobliwie wyglądają tzw. kroczące sosny. Sosna to podstawowy składnik puszczy, potrafi sobie poradzić na marniutkiej, piaszczystej glebie. Woda wymywa nieraz spod niej piach, odkrywając korzenie – wygląda to rzeczywiście jak krocząca sosna. Żeby było sprawiedliwie – bagna też serwują liczne atrakcje. W latach suchszych, gdy trochę sobie podeschną, pojawia się na nich brzoza brodawkowata, która ma tę właściwość, że daje sobie radę tam, gdzie inne nie potrafią. Ale do czasu – brzozy rosną szybko, jednak gdy zrobi się za mokro, umierają, a gdy wiatr mocniej zawieje, z łatwością je łamie. Na Długim Bagnie widzieliśmy całą połąć pokrytą takimi połamanymi brzozami – wygląda to tak, jakby jakiś olbrzym przeciągnął po nich maczetą. Mieliśmy też inne skojarzenia, ale po co mnożyć byty ponad potrzebę – wersja z olbrzymem i maczetą jako najbardziej prawdopodobną przyczyną połamanych brzoź spodobała się nam najbardziej, więc przyjęliśmy ją – choć z lekkim przymrużeniem oka.

Z lekkim też przymrużeniem oka przewodnik Mariusz przybliżył nam sylwetkę pierwszego obywatela puszczy – łosia. Tenże doskonale sobie radzi na podmokłych terenach. Jak nam powiedział Mariusz, łoś powstał z resztek, które zostały Panu Bogu po stworzeniu wszystkich zwierząt. Chwała Panu Bogu, że nie wyrzucił tych resztek, tylko ulepił z nich łosia. Co prawda urodą to on nie grzeszy, składa się bowiem z elementów nie bardzo pasujących do siebie, stąd jego lekko dziwny wygląd, ale nauczył się z tym żyć, a wręcz zyskał przewagę w środowisku i radzi sobie na tyle dobrze, że nawet stał się symbolem puszczy trafiając do godła Kampinoskiego Parku Narodowego. Gwoli ścisłości – łoś, zapewne za sprawą ludzi, został z tych terenów wyparty, a może po prostu wybity do nogi. Ludzie jednak opamiętali się – co Bóg stworzył, niech człowiek nie niszczy! – i w latach 50. (jeszcze przed utworzeniem Parku) został do puszczy reintrodukowany, czyli ponownie wprowadzony. Dodam, że w latach 80. reintrodukowano tutaj bobry, a w 90. rozpoczęto reintrodukcję rysia. Wprowadza się też do puszczy rośliny – np. przywrócono cis i modrzew polski. To dobry kierunek – bioróżnorodności nigdy za dużo.

O jeszcze jednym bardzo ciekawym drzewie wypada wspomnieć. Idąc ścieżką dydaktyczno-przyrodniczą „Do Karczmiska” napotkaliśmy wspaniały okaz brzozy ciemnej. Jest to subendemit Europy Środkowej, występuje jeszcze tylko na Słowacji i Ukrainie, a Puszcza Kampinowska jest północną i wschodnią granicą jego występowania w Europie.

Przyroda puszczy jest bardzo bogata, choć naturalne warunki do trwania są trudne, nieraz dość skrajne – albo całkiem sucho, albo całkiem mokro. Prawowici mieszkańcy puszczy radzą sobie bardzo dobrze, co jest kolejnym cudem nad Wisłą, zważywszy, że wokół panoszy się coraz bardziej agresywna, pozbawiona skrupułów cywilizacja. Na szczęście są tacy ludzie jak pan Mariusz i inni pracownicy Parku, którzy jak

ostatni Mohikanie bronią puszczy i pomagają jej mieszkańcom. Trzymamy za nich kciuki i życzymy zwycięstw w tym dość nierównym boju.

Wytrzymajcie, dacie radę!

Zjechaliśmy do Puszczy Kampinoskiej dla przyrody, ale chodząc po niej nie sposób nie trafić do miejsc, w których nasza polska historia odcisnęła swoje piętno, tak nieraz tragiczne. Już w XV wieku szły tędy do Czerwińska wojska Władysława Jagiełły, by przeprawić się przez Wisłę i podążyć na północ aż pod Grunwald. To był manewr strategiczny na chwałę polskiego oręza. Ale później było już tylko gorzej. Tu stacjonowały i toczyły krwawe, nierówne

boje oddziały powstańcze, zwłaszcza w 1863 roku. Do dziś stoją sosny i dęby, na których carscy oprawcy wieszali bezlitośnie Polaków walczących o niepodległość Ojczyzny. Tędy we wrześniu 1939 roku, po bitwie nad Bzurą, przedzierały się do broniącej się Warszawy armie „Poznań” i „Pomorze”, walcząc heroicznie z przeważającymi siłami niemieckimi. Tu ukrywali się i stąd wyruszali do nierównego boju powstańcy warszawscy – byliśmy przy pomniku oddziałów „Jerzyki”. Najtragiczniejsze karty w historii Puszczy Kampinoskiej zapisane zostały w Palmirach. Niemcy już w 1939 roku i w latach późniejszych również, mordowali skrytobójczo i zakopywali w bezimiennej ziemi polskich patriotów. Dziś jest tu cmentarz mauzoleum. Byliśmy, widzieliśmy, przeżywaliśmy pogrążeni w zadumie, chodząc po cmentarzu i zwiedzając muzeum.

Nasze 39. już Krajoznawcze Spotkanie Rodzinne zakończyło się niedzielnym, słonecznym spacerem po Łazienkach Królewskich. Znowu można było przeżyć szok i to niejeden – pierwszy, gdy z Parku Narodowego wjechaliśmy bezpośrednio do Warszawy, a drugi, gdy w Warszawie uciekliśmy od niej do Łazienek. To naprawdę zdumiewające, jak w bezpośredniej bliskości współistnieją dzika przyroda, rozpasana cywilizacja i stworzona przez człowieka enklawa pięknej architektury i przepięknie, wręcz baśniowo skomponowanego krajobrazu przyrodniczego!

Dla mnie spotkanie z przyjaciółmi skończyło się, z różnych względów, pożegnaniem jeszcze w Izabelinie, po czym z wnuczką Wiktorią, stałą bywalczynią naszych spotkań, wyruszyłem do domu – w Łazienkach już nieraz bywaliśmy. Ale zwiedzaliśmy



Krzyż „Jerzyków”



Sanniki – pomnik Fryderyka Chopina i zasłuchanej, wpatrzonej w niego, guwernantki

na dal, rozszerzyliśmy nasz program o dalsze zwiedzanie Parku i poznanie kilku bardzo ważnych miejsc na Szlaku Chopinowskim. Po drodze do Żelazowej Woli zatrzymaliśmy się w Granicy. Tu mieści się Ośrodek Dydaktyczno-Muzealny Kampinoskiego Parku Narodowego im. Jadwigi i Romana Kobendzów. Po muzeum i skansenie oprowadzał nas pan Mariusz, który miał niedzielny dyżur. Z prawdziwą przyjemnością słuchaliśmy znów jego opowieści – aż chce się powrócić w te piękne strony. Z Mariuszem utrzymuję kontakt, pomógł mi przy pisaniu tego artykułu. Dziękujemy Ci, Mariuszu!

To było nasze pożegnanie z Puszcą Kampinoską, ale nie koniec naszej przygody w tej niezwykłej krainie. We wstępie wspominałem o kulturze najwyższej i teraz nadszedł czas, by choć trochę jej posmakować. Byliśmy przecież na Szlaku Chopinowskim. Wnuczka zachwyciła się parkiem i dworkiem w Żelazowej Woli, wsłuchiwała się w chopinowskie nuty płynące z dyskretnie rozmieszczonych w parku grzybków. Zwiedziliśmy kościół w Brochowie, w którym ślubowali rodzice Fryderyka, a on sam został ochrzczony. W niedalekich Sannikach zachwyciły nas wnętrza odrestaurowanego pałacu, w którym pomieszkiwał u przyjaciół, a także tworzył nasz największy kompozytor.

Z czystym sumieniem i absolutnym przekonaniem polecamy organizatorom wycieczek, zwłaszcza szkolnych, taki oto pomysł: poznajemy Puszcę Kampinoską i Szlak Chopinowski, obierając za bazę schronisko w siedzibie KPN. Zaręczamy – to będzie pod każdym względem wycieczka owocna. A jeśli jeszcze uda się namówić pana Mariusza do oprowadzania i opowieści – uczestnicy wycieczek długo będą wspominać tę jedyną w swoim rodzaju przygodę w krainie przyrody i muzyki!

Sławomir Chojnacki

Wycieczka Rajdu na Raty do Lubiąża i Środy Śląskiej

W sobotę 28.04.2018 r. miała miejsce pierwsza w tym roku wycieczka autokarowa Rajdu na Raty. Tym razem Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zaprosił turystów do Lubiąża i Środy Śląskiej. Prowadzącym był Wiktor Gumprecht.

W Lubiążu odwiedziliśmy najpiękniejszy, największy i najbardziej tajemniczy obiekt – opactwo cysterskie. Co prawda obiekt ten, zajmujący teren ponad dwa razy większy niż Wawel, jest wciąż w fazie remontu. Niestety, czasy świetności minęły w roku 1810, kiedy to król pruski, w związku z koniecznością zapłaty kontrybucji wojennych Francuzom, postanowił dokonać tego nie naruszając finansów państwa. Zdecydował wtedy skonfiskować majątki likwidowanych na mocy ustawy dóbr klasztornych.

I tak, mienie opuszczone przez dotychczasowych gospodarzy najpierw zostało ogołocone z majątku ruchomego, później sprzedane na wolnym rynku. Niestety, zespół klasztorny w Lubiążu był tak duży, że nie znalazł się nikt, kto byłby w stanie sprostać takiemu wyzwaniu. W związku z powyższym wciąż niszczał. W czasie II wojny światowej podjęto tu różnego rodzaju działania związane z wojskiem, ale nie przełożyło się to na poprawę stanu substancji Lubiąża. Na dobrą sprawę, do dnia dzisiejszego nie wiadomo, co tutaj naprawdę było robione. Wszak ogrom podziemi jest nie do ogarnięcia.

Kilka pierwszych lat po zakończeniu działań wojennych stacjonowali tu żołnierze Armii Czerwonej. Później obiekt stał pusty, przez nikogo



Makieta opactwa cystersów w Lubiążu. Fot. Piotr Dacko

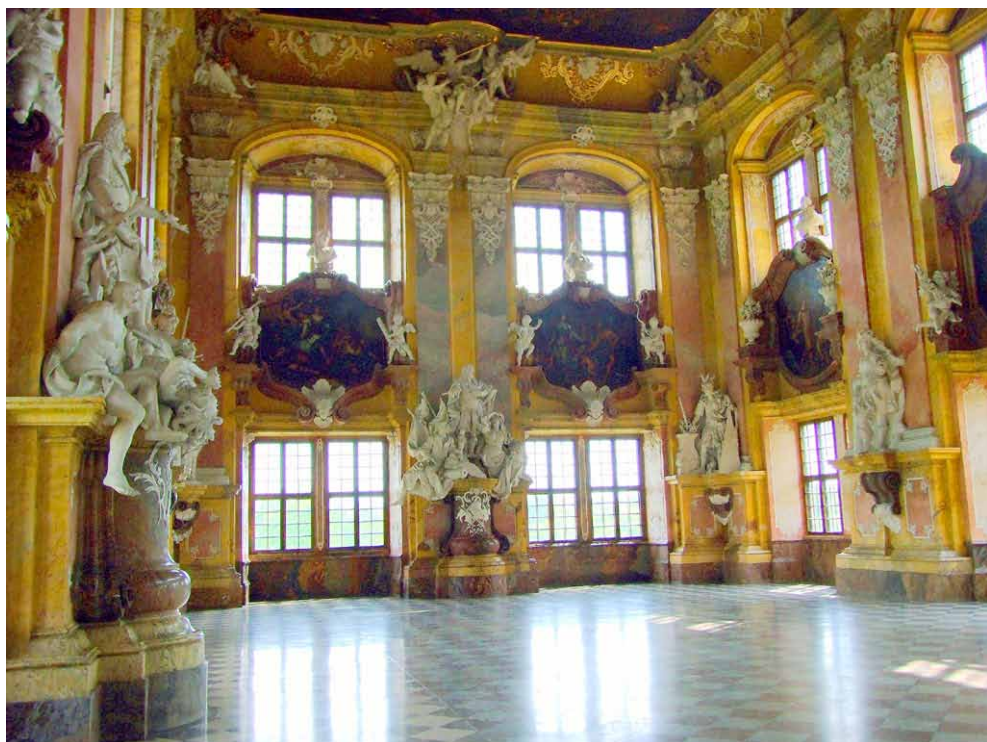
niepilnowany. Pierwsze wywożenie mienia ruchomego miało miejsce jeszcze podczas II wojny światowej. Dzieła sztuki pakowano do skrzyń – prace te były prowadzone przez fachowców z niemieckiego biura konserwatora zabytków, którzy dokładnie katalogowali wszystko, co było wywożone. Dlatego dzisiaj można powiedzieć, że w jakimś sensie działania te przyczyniły się do uratowania wielu z tych wspaniałych dzieł sztuki. Dopiero okres późniejszy, gdy w tym pięknym kompleksie stacjonowali zaprzyjaźnieni żołnierze, oraz lata, kiedy był on praktycznie niepilnowany, przyczyniły się do całkowitej jego dewastacji.

Dopiero w 1989 roku, po powstaniu fundacji, której miała za cel uratowanie tego olbrzymiego obiektu, zaczęło się coś zmieniać na lepsze. Zespół pocysterski został przekazany fundacji, a ta podejmowała konkretne działania ratownicze. I, o dziwo, udało się – zatrzymano postępującą degradację tego miejsca. Ba, z pieniędzy pozyskiwanych od sponsorów (później również z biletów wstępu) rozpoczęto prace remontowe i konserwatorskie, dzięki którym dzisiaj możemy obejrzeć kilka wspaniałych odnowionych sal. Niestety, jeśli chodzi o kościół funkcjonujący do końca wojny, to

nie ma najmniejszych szans na odzyskanie znajdującego się niegdyś w nim wyposażenia ruchomego. Jego właścicielami są teraz muzea w całej Polsce. A trzeba wiedzieć, że to właśnie tutaj aż przez 16 lat pracował Michał Willmann, najwybitniejszy artysta na Śląsku. Lubiąż tak podobał się artyście, że pozostał tu aż do śmierci. Jego doczesne szczątki spoczywają w krypcie pod kościołem, jest on jedyną osobą świecką pochowaną wraz z opatami lubińskimi. Przed ołtarzem zachowały się płyty nagrobne władców z dynastii Piastów, m.in. Bolesława Wysokiego, który sprowadził cystersów z Turynii.

Ponieważ odrestaurowane komnaty są tak niesamowite, nawet nie będę próbował ich opisywać. Powiem tylko, że warto przybyć tutaj, by samemu obejrzeć te wszystkie wspaniałości.

Drugim celem naszej wycieczki była Środa Śląska – miasteczko, w którym podczas prac ziemnych natrafiono na ukryte kosztowności oraz monety, zwane dzisiaj Skarbem Średzkim. Niestety, nazwa nie oddaje w pełni rzeczywistości, bowiem znalezisko przejęło Muzeum Narodowe we Wrocławiu i jest ono prezentowane



Lubiąż – odrestaurowana Sala książęca i refektarz. Fot. Piotr Dacko



w Środzie Śląskiej w drodze łaski, od czasu do czasu. Na szczęście muzeum średzkie posiada inne znaleziska, które mogą być nazywane skarbami (aczkolwiek jest ich niewiele). Największą część zbiorów stanowią eksponaty związane z dawnym rzemiosłem oraz z sądownictwem, jeśli możemy tak nazwać pracę kata miejskiego.

Mieliśmy szczęście, że po mieście oprowadził nas dyrektor muzeum, pan Grzegorz Borowski, który doskonale zna ciekawe obiekty znajdujące się w Środzie Śląskiej. Pokazał nam mury miejskie, co



prawda dzisiaj niespełniające swojej funkcji, a także znacznie obniżone i niekompletne. Dzięki prowadzonym pracom archeologicznym udowodniono istnienie aż pięciu bram miejskich. Jeśli chodzi o świątynie, to najładniejszy jest kościół pw. św. Andrzeja Apostoła. To przy nim wybudowano wieżę pełniącą funkcję dzwonnicy. Dzisiaj mieści się w niej punkt IT oraz punkt widokowy, z którego przy dobrej widoczności widać Ślązę oraz Sky Tower we Wrocławiu. Pół wieku temu mieszkaniec jednej z pobliskich miejscowości założył się, że skoczy z wieży z parasolką w roli spadochronu. Jak postanowił, tak uczynił. Miał wyjątkowe szczęście, gdyż wylądował w sklepowej witrynie znajdującej się przy wieży i poza ogólnymi potłuczeniami nic mu się nie stało.

Myślę, że m.in. ze względu na wspaniałą pogodę wycieczka była na tyle udana, iż nikt nie żałował uczestnictwa w niej. Na kolejną Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zaprasza już w maju. Szczegóły na stronie internetowej Oddziału PTTK.

Krzysztof Tęcza

XI wycieczka szlakiem Wlastimila Hofmana

W piątek 27.04.2018 r. Szklarska Poręba zaprosiła miłośników twórczości Wlastimila Hofmana na wycieczkę, podczas której mogli odwiedzić miejsca związane z artystą. Inicjatorem i organizatorem wycieczki był mieszkaniec Szklarskiej Poręby, Marian Cap. Jedna osoba nie jest w stanie ogarnąć tak dużego przedsięwzięcia, więc pojawili się przyjaciele wycieczki oferujący albo miłe przyjęcie w swoich placówkach, albo udział w koniecznych do wykonania pracach. W tym roku zgłosili się: Referat Promocji Miasta Szklarskiej Poręby, Parafia Rzymsko-Katolicka pw. Bożego Ciała, Szkoła Podstawowa nr 5, muzeum Dom Wlastimila Hofmana, Dom Braci Hauptmannów, Galeria Fotografii Artystycznej Jana i Janiny Korpalów, Biblioteka Małego Księcia i „Wlastimil”. Patronat honorowy nad imprezą objął Burmistrz Miasta Szklarska Poręba pan Mirosław Graf.

Kiedy Wlastimil Hofman przybył do Szklarskiej Poręby, nie było mu łatwo. Były to czasy powojenne, kiedy w zasadzie wszystko budowano od nowa. Nie było rodziny, która nie ucierpiałaby wskutek działań wojennych. Normą stało się osiedlanie na naszych terenach ludzi z innych rejonów, zwłaszcza z utraconych ziem wschodnich. Nikt jednak wtedy nie narzekał na swój los i nie czekał, aż spadnie mu coś z nieba. Każdy radził sobie jak mógł. Wlastimil, mimo iż był już uznanym artystą, musiał, tak jak inni, zarabiać na życie, a ponieważ jego pasją było malarstwo – tworzył obrazy. Przedstawiał swoje wizje, ale przede wszystkim malował portrety ludzi odwiedzających Szklarską Porębę, która stawała się coraz modniejsza wśród turystów. Swoje obrazy sprzedawał po bardzo niskich cenach, co nie pozwalało na życie w przepychu, za to tworzył ich bardzo dużo. Oczywiście

zdarzało się, że malował na konkretne zamówienie, ale wiele swoich dzieł po prostu rozdawał. Wiele obrazów ofiarował kościołom, stąd dzisiaj w Szklarskiej Porębie dzieła mistrza możemy spotkać niemal wszędzie. Największy zbiór jego prac znajduje się we Wlastimilówce, czyli domu, w którym mieszkał i tworzył aż do śmierci.



Dzięki pracowitości Wlastimil stał się rozpoznawalnym mieszkańcem Szklarskiej Poręby, by nie rzec – jej wizytówką. W zasadzie, mimo iż z tym miastem związane są dziesiątki wybitnych ludzi, to Wlastimil Hofman wciąż jest tym naj... Dlatego jego życie i twórczość zafascynowały wiele osób, nie tylko miejscowych, i skłoniły do przypominania twórczości mistrza. Jedną z takich osób jest Marian Cap, który już od ponad dekady organizuje wycieczki Hofmanowskie. Zaprasza on chętnych do odwiedzenia miejsc związanych z twórcą. W roku obecnym taka wycieczka odbyła się już po raz jedenasty. Jest to na tyle ważne wydarzenie, że miasto, widząc zainteresowanie nim, zdecydowało się opracować i wyznaczyć w terenie Szlak Hofmanowski. Już pod koniec lata nastąpi otwarcie tej niezwykle interesującej trasy.

Na razie jednak miłośnicy twórczości Hofmana spotkali się przy Galerii Fotografii Artystycznej Jana i Janiny Korpaków. To małżeństwo wybitnych fotografów utrwalających w swoich pracach piękno Karkonoszy. Niestety, Jan Korpak już nie żyje. Jednak dzięki zaangażowaniu pani Janiny powstało coś w rodzaju małego muzeum. Możemy tu obejrzeć przepiękne fotografie ukazujące ciekawe zakątki naszych gór, ale także zdjęcia dokumentujące związki Korpaków z rodziną Hofmanów. Tak się bowiem złożyło, że pomiędzy nimi nawiązała się nić przyjaźni. Poznawszy się, zaczęli składać sobie wizyty, Hofman malował portrety Korpaków, a Jan Korpak fotografował zarówno dzieła mistrza, jak jego i Adę, małżonkę Wlastimila. Wiele tych fotografii oraz darowanych obrazów znajduje się w galerii.

Pani Janina chętnie wspomina tamte czasy i opowiada jakimi ludźmi byli Hofmanowie. Zawsze podkreśla, że Wlastimil był niezwykle pracowitym człowiekiem, ale dodaje, że gdyby nie jego małżonka zajmująca się sprawami przyziemnymi, związanymi z prowadzeniem domu, mistrz nie przetrwałby jednego dnia. W życiu najczęściej właśnie tak jest. Przy pracowitym człowieku poświęcającym się całkowicie swojej pasji, przeważnie trwa ukochana kobieta, która dba o wszystko. I tylko dzięki jej pracy i poświęceniu możliwa jest egzystencja tak wybitnej jednostki.

Tym razem, ze względu na przybycie kilkudziesięciu osób, utworzono dwie grupy, które w kilkunastominutowych odstępach ruszyły w teren. Pierwszą grupę prowadził przewodnik sudecki, Jarosław Szczyżowski, drugą Alina Pasińska, również przewodnik sudecki. Obie grupy wspierał kolejny przewodnik, Waldemar Ciołek, znany wszystkim jako Druid Szalony. Dlaczego szalony, tego może dowiedzieć się tylko ten, kto uczestniczy w jego wycieczkach.

Od galerii państwa Korpaków udaliśmy się do usytuowanego na górze ośrodka Esplanada. Tuż obok Hofmanowie rozkładali na ławeczkach obrazy oferowane do sprzedaży. Była to niejako pierwsza galeria pod gołym niebem. Dzisiaj Marian Cap rozłożył reprodukcje dzieł mistrza na ławeczkach w Esplanadzie. Można tam wypić znakomitą czekoladę czy kawę, oglądając zawieszane na ścianie reprodukcje starych widokówek przedstawiających obiekty w przedwojennej Szklarskiej Porębie.

My ruszyliśmy dalej poznając ciekawostki związane z konkretnymi obiektami położonymi wzdłuż szlaku. Nie będę jednak zdradzał wszystkich tajemnic – zachęcam do ich osobistego odkrycia. Powiem tylko, że na trasie naszego spaceru odwiedziliśmy jeszcze kościół pw. Bożego Ciała, w którym znajduje się wiele dzieł mistrza oraz Szkołę Podstawową nr 5, która przyjęła imię Wlastimila Hofmana i posiada wiele pamiątek związanych

z malarzem. Organizowane są tu uroczystości z okazji kolejnych rocznic, ale przede wszystkim dzieci starają się poznać życie mistrza, a także dbać o to, by pamięć o nim wciąż trwała. Niedawno na ścianach budynku gospodarczego, stojącego za trybunami boiska szkolnego, wymalowano mural pokazujący ciekawostki z życia Hofmana. M.in. przedstawiono scenę przypominającą słynną



sprawę wygrania meczu piłki nożnej przez zawodników krakowskiego klubu sportowego Wisła, którego Hofman był wielkim kibicem. Kiedy drużyna Wisły przegrywała kilkoma bramkami, Hofman poszedł na przerwę do szatni i powiedział, że jeżeli zawodnicy wykrzeszą z siebie trochę sił i wygrają ten mecz, to on namaluje każdemu obraz przedstawiający go w skali 1:1, a oprócz tego duży obraz całej drużyny. Zawodnicy tak się przejęli tym oświadczeniem, że po przerwie strzelili tyle bramek, iż wygrali. Mistrz dotrzymał słowa i przez dwa lata malował ich portrety.

Tuż obok szkoły, na cmentarzu miejskim znajduje się skromny grób Ady i Władysława Hofmanów. To właśnie tam skierowaliśmy swoje kroki, by postawić symboliczny znicz. Dodam tylko, że znicze palące się na grobie państwa Hofmanów to normalny obrazek. Zawsze jakiś turysta postawi tu znicz, by pokazać, że o nich pamięta.

Na trasie Szlaku Hofmanowskiego znajduje się dom, w którym mieszkali bracia Hauptmannowie, wybitni pisarze. Dzisiaj w utworzonym tu muzeum możemy obejrzeć wiele dzieł naszego mistrza. Są to często obrazy darowane przez mieszkańców Szklarskiej Poręby. Trzeba wiedzieć, że mistrz namalował ich kilka tysięcy.

Teraz pozostało nam tylko przejść, podziwiając wspaniałe krajobrazy, na ulicę Matejki, gdzie znajduje się dom, w którym mieszkali Hofmanowie. To prawdziwe muzeum. Można w nim nie tylko podziwiać wiele pięknych obrazów, ale także zobaczyć pamiątki związane z życiem mistrza.

Na zakończenie spaceru poszliśmy do miejsca zwanego Żłotym Widokiem. Mistrz często przychodził tutaj ze sztalugami, by malować piękno krajobrazu widzianego właśnie stąd. Gdy sami tutaj dotrzemy stwierdzimy, że mistrz nie mylił się. Nas również urzeknie to piękno. Najważniejsze jest to, że nasze ukochane Karkonosze są nie tylko piękne czy tajemnicze, ale znajdują się na wyciągnięcie ręki. A to jest chyba najważniejsze.

Krzysztof Tęcza

600 lat historii Karpacza

W sobotę 21.04.2018 r., w ramach cyklu „600 lat historii Karpacza – Przystanek Historia”, Ryszard Rzepczyński poprowadził drugą wycieczkę, tym razem po Karpaczu Górnym.

Chętni na spacer spotkali się z przewodnikiem koło Młynka Miłości. Niektórzy z przybyłych pamiętają ten obiekt sprzed wielu lat, kiedy wyglądał zupełnie inaczej. Nie był to bowiem młyn, a wiatrak, który miał możliwość tryskania wodą. Czasami było tak, że gdy przewodnik doprowadził tutaj grupę turystów, właściciel obiektu włączał wiatrak i strumienie wody oblewały turystów słuchających opowiadania przewodnika. Później, gdy obiekt zmarniał, postawiono nowy, wykonany przez jednego z mieszkańców Karpacza, ale już w kształcie młyna. Stary obiekt został przeniesiony na podwórko jego właściciela. Od tej pory do młyna przylgnęło wiele opowieści, niekoniecznie prawdziwych.

My schodzimy do Chlebowej Budy, obiektu który stał na drodze prowadzącej z Cieplic na Śnieżkę. Trzeba wiedzieć, że gdy na szczycie Karkonoszy zbudowano kaplicę św. Wawrzyńca, ludzie wybierali się tam, aby wziąć udział we mszy. A ponieważ w tamtych latach nie było asfaltowych dróg ani autobusów, większość szła pieszo. Dojście z Cieplic na Śnieżkę zajmowało dwa albo trzy



dni, dlatego właśnie wspomniany obiekt był tak ważny. To tutaj można było odpocząć, przenocować i posilić się, stąd wyruszano na ostatni etap drogi.

Kiedyś zdarzyło się, że przybyli podróżnicy zabalowali tak porządnie, iż żona jednego z nich rano nie miała sił iść dalej. Aby pomóc dostać się niewieście na górę, wzięto krzesło, do którego przymocowano dwa porządne kije i zrobiono coś w rodzaju lektyki. Pani usiadła na tak przerobionym siedzisku i została zaniesiona na sam szczyt. Później taki sposób podróżowania stał się na tyle modny, że powstało Stowarzyszenie Lektykarzy, niestety dzisiaj już nieistniejące.

W tamtych czasach ludzie mieli na uwadze inne wartości – najbardziej pożąдали zdrowia. A jak być wciąż zdrowym? Istniało proste rozwiązanie: wystarczyło pozyskać korzeń mandragory, który był lekiem na wszystko. Oczywiście nie było to wcale takie łatwe. Ba, próba wyrwania korzenia z ziemi z reguły kończyła się śmiercią tego, który to czynił. Bowiem krzyk, jaki wydawał korzeń w trakcie wrywania, miał taką moc, że zabijał wszystkie żywe stworzenia, które go słyszały. Dlatego do tej niebezpiecznej czynności wykorzystywano psy. Wiązano im do szyi sznur, który wcześniej przywiązywano do korzenia mandragory, a następnie różnymi sposobami starano się przepłoszyć zwierzę. Niestety nieświadome stworzenie przypłacało to życiem.

W Karpaczu ani w jego okolicy nie występowała mandragora, za to rosła tutaj inna roślina, której korzeń do złudzenia przypominał korzeń mandragory – czosnek siatkowy. Nic dziwnego, że znalazł się człowiek, który oszukiwał innych wykorzystując ich niewiedzę. Niemniej, jak by na to nie patrzeć, ludzie ci byli w swojej niewiedzy szczęśliwi.

Nieco dalej, na niższym wierzchołku Czoła, znajdują się ciekawe skałki, wśród których odprawiane były tajne nabożeństwa. Miejsce to znajdowało się na tyle daleko od zabudowań, że nikt niepowołany nie zakłócał spokoju wiernym i na tyle wysoko, że można było z odpowiednim wyprzedzeniem dostrzec wojsko chcące zrobić „porządek z odmieńcami”. Miejsce to nazywane jest Leśnym Zborem.

W pobliżu tego miejsca znajdują się cyklopowe mury. Do niedawna nikt nie zwracał na nie uwagi, ale teraz, kiedy pozostały już ich ostatnie fragmenty, warto zrobić coś, by i one nie znikły z krajobrazu. Mury te układane były z kamieni zbieranych na polach i niejako wyznaczały granice. Przekazy jednak mówią, że były one układane przez cyklopów, istoty tak silne, że bez problemów przenosiły te wielkie kamienie. Żaden człowiek nie jest w stanie unieść takiego ciężaru samodzielnie. Przy ostatnim kawałku muru rośnie kilka wielkich choinek. Są one zupełnie niepodobne do tych rosnących w lesie. Ich lekko uniesione do góry końcówki gałęzi ułatwiają zrzucanie śniegu. Ponadto mają mocny system korzeniowy wchodzący znacznie głębiej w ziemię. Drzewa te rosną wolniej, ale za to osiągają imponujące rozmiary. To świerk karkonoski.

Po drugiej stronie ulicy Karkonoskiej znajduje się dawny dom wypoczynkowy Funduszu Wczasów Pracowniczych „Uroczą”. Jest to budynek uważany w czasach jego powstania za jeden z najnowocześniejszych w całym Karpaczu.

Bum turystyczny rozpoczął się od zmontowania przeniesionej tutaj ze Skandynawii świątyni Wang oraz doprowadzenia linii kolejowej. Liczba przybywających turystów zwiększyła się do tego stopnia, że istniejąca baza noclegowa nie była w stanie ich pomieścić. Zaczęto budować nowe obiekty. Wspomniany budynek

został wyposażony w instalację elektryczną, centralne ogrzewanie parowe, bieżącą wodę (zimną i ciepłą) oraz windę. Wtedy nazywał się „Sanssouci”. W czasie II wojny światowej znajdowała się w nim ambasada Włoch. Wcześniej, ze względu na komfort, organizowano tu przyjęcia dla Japończyków. Po zakończeniu działań wojennych obiekt przejęła Polska Partia Robotnicza, a osobą zarządzającą została pani Tyszkiewicz, która m.in. miała uczyć polityków wysyłanych na placówki dyplomatyczne zasad *savoir-vivre* 'u.

Ponoć nocował tutaj kiedyś sam Bolesław Bierut. Nie ma na to dowodów, ale coś w tym musi być, skoro ta część miasta została nazwana Bierutowice. Aczkolwiek niektórzy twierdzą, że Bierut nocował w budynku nr 34 (również przy dzisiejszej ulicy Karkonoskiej). Wyjaśnienie jest jednak proste – kiedyś mieszkał w nim milicjant, a na ścianach miał powieszone zdjęcia, na których, w związku z wykonywaną pracą, był utrwalony razem z Bierutem. Ludzie, widząc przez okna takie fotografie uznali, że to oczywiste, iż w tym budynku musiał nocować Bierut.

Udajemy się do świątyni Wang. Tuż przed nią znajduje się pensjonat o nazwie „Tarasy Wangu” – to właśnie tutaj powstał pierwszy obiekt noclegowy po zmontowaniu świątyni. Gdy inwestorzy zorientowali się, jakie taki obiekt może przynieść zyski, chcieli wybudować kolejne domy. Jednak, ze względu na protesty, teren ten został przekazany na wieczne użytkowanie parafii ewangelickiej i dzięki temu do dzisiaj nic na nim nie wybudowano.

Wracając do świątyni – prosimy o udostępnienie nam klucza od kamiennej wieży wybudowanej celem ochrony przed silnymi wiatrami. Podążając kręconymi drewnianymi schodami można wdrapać się na samą górę, gdzie zainstalowano mechanizm zegarowy. Jest on na tyle ciekawy, że w 2014 roku umieszczono tam następujący tekst:

*Właśnie dlatego, że stary,
Szacunek mu się należy.
Chociaż są starsze zegary,
Lecz ten jest w „wangowej wieży”.*

*Od wielu już lat obwieszczał
Czas zgonów i czas narodzin
Prostego ludu i mieszczan,
I panów z wielmożnych rodzin.*

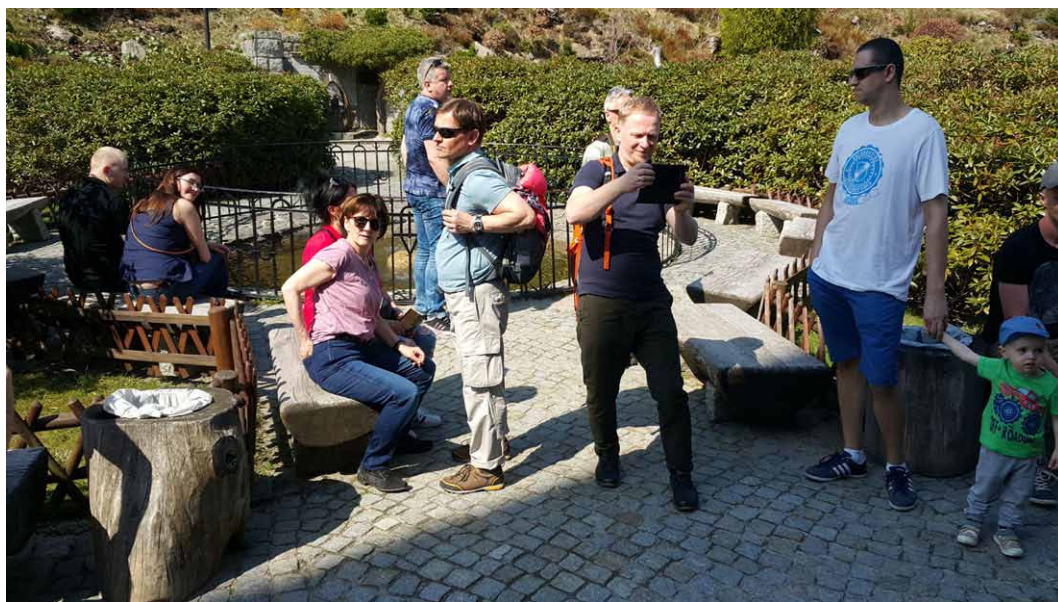
*Troskliwa dłoń go podniosła,
Ciężarem czasu schyłony,
Sztuką dawnego rzemiosła
Do życia znów przywrócony.*

*Nie w pieśni ani w legendzie,
Nie we śnie, ale na jawie.
Słyszycie? Naprawdę bije
Zegar na Wangu. On żyje.*

(według Antoniego Słonimskiego)
Na Twoje 170. urodziny
H. G. i A. E.
Odolanów, sierpień 2014

Schodząc w dół w stronę Białego Jaru docieramy do budynku, w którym dzisiaj prowadzony jest bar Sowi-ca. Dawniej mieszkał tu Kleber, najsłynniejszy fotograf Karpacza. Po wojnie obiekt przejął pan Jakóbiak, również fotograf. W tamtym okresie fotografia była bardzo dochodowym biznesem, dlatego też często toczyły się prawdziwe boje o klienta. Najlepsze zarobki można było osiągnąć pod wyciągiem. Wiadomo, każdy wjeżdżający na Kopę chciał mieć zdjęcie. Kłopotem był brak czasu. Trzeba przecież było zawieźć klisze do zakładu, wywołać, zrobić odbitki, wysuszyć i przywieźć z powrotem pod wyciąg tak, by sfotografowany dostał je, gdy zjedzie na dół. Dlatego z fotografami współpracowało wiele osób. Jedna robiła zdjęcia, druga przewoziła je do zakładu i z powrotem, a pozostałe działały na miejscu i w zasadzie przez cały dzień nie wychodziły z ciemni. Ze

względu na sporą liczbę fotografów, po początkowym bałaganie wprowadzono prostą zasadę: każdy robił jeden film i ustępował miejsca kolejnemu. Niestety i tu zdarzały się przypadki oszustwa. Niektórzy kleili ze sobą po dwa filmy i zamiast 36 robili 72 zdjęcia. Na szczęście szybko ukrócono ten proceder i wszystko odbywało się już bez zgrzytów.



Jeszcze jedna ciekawa sytuacja związana z fotografowaniem miała miejsce. Otóż kiedyś przyjechał do Karpacza ktoś, kto przwiózł ze sobą małego misia. Prowadzał go na smyczy, a ten rósł i rósł. Ponieważ był prawdziwą atrakcją, każdy z wczasowiczów chciał mieć z nim fotkę. Niestety, kiedyś, już jako dorosły, niedźwiedź został czymś sprowokowany i zerwał się z uwięzi. Biegając po ulicach dotarł do gospodarstwa, w którym na łące zobaczył uwiązaną owcę. Niewiele się namyślając rozszarpał ją. Właściciel owcy, też niewiele się namyślając, wezwał na pomoc milicjantów. Ci zaczęli strzelać do niedźwiedzia z pistoletów. Jednak nie była to zbyt skuteczna broń na tak dużego zwierza. Dopiero wezwany myśliwy rozprawił się z nim używając karabinu o odpowiednim kalibrze. I tak skończyły się zdjęcia z misiem.

Idąc dalej ulicą Karkonoską dochodzimy do widocznego na zboczu ładnego obiektu. To „Leśny Zamek”. Budynek został wzniesiony za pieniądze pochodzące z przemytu cukru i tytoniu. W tamtych czasach, ze względu na bliskość granicy, wielu ludzi parało się tym procederem. Dochodziło nawet do morderstw – 21.06.1877 r. został śmiertelnie postrzelony leśniczy Wilhelm Frei. Co prawda do dzisiaj nie wiadomo, czy postrzelili go przemysłowcy czy kłusownicy. Pomnik upamiętniający to wydarzenie znajduje się nieco poniżej Kopy, przy jednej z przypór wyciągu.

Z „Leśnym Zamkiem” związana jest bardzo przykra historia. Otóż w czasach, gdy obiekt ten upodobał sobie wojskowi, przebywał tu oficer pruski o imieniu Helmut i jego żona Luiza. Helmut przedkładał zakrapiane imprezy nad przebywanie z żoną. Gdy ta zeszła kiedyś do restauracji i zobaczyła jak zabawia się jej małżonek, nie wytrzymała tego. Zamiast po prostu zastrzelić męża, pobiegła do swojego pokoju na szczycie wieży i rzuciła się z okna ponosząc śmierć na miejscu. Po jakimś czasie inne małżeństwo, podejmując ostatnią próbę ratowania swojego związku, wynajęło ów pokój i okazało się, że pobyt w nim poprawił ich wzajemne relacje na tyle, że nie myśleli już o rozstaniu. Od tej pory wiele par, w których wypaliła się miłość, przyjeżdżało tutaj szukać ostatniego ratunku.

Poniżej znajduje się obecnie ładnie odnowiony budynek nazwany „Lawendowym Dworkiem”. Kiedyś funkcjonował w nim tygodniowy żłobek. Nie było w tym nic dziwnego zważywszy, że pracownicy Funduszu Wczasów Pracowniczych, dla których był utworzony, pracowali w nielimitowanym wymiarze czasu i często w ciągu tygodnia nie mieli możliwości zajmować się swoimi pociechami.

Po drugiej stronie ulicy, na zakręcie, znajduje się budynek z pensjonatem „Sadyba”. Dawniej zajmowało go Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Tutaj pan Waldek tańczył z panią Loską.

Następna atrakcja Karpacza jest bardziej znana z racji swojej niezwykłości. Mówimy oczywiście o anomalii grawitacyjnej. Jest to miejsce, w którym położona butelka toczy się pod górę. Mało tego, gdy zatrzymamy tam auto i damy na luz, ono zacznie także jechać pod górę. Czy jest to tylko złudzenie optyczne, czy prawda, każdy musi zdecydować sam.

Tuż obok znajduje się inna niezwykłość. Jest to kociołek na dnie potoku, a właściwie dziura wywiercona w skale. Jak to możliwe? W bardzo prosty sposób. Otóż kamienie obracane przez wir w wodzie powolutku, ale skutecznie, wywiercają coś w rodzaju studni w skale na dnie potoku. Im dłużej to trwa, tym głębsza i szersza jest owa jama. I właśnie taki kociołek znajduje się na rzece Łomnicy poniżej miejsca anomalii grawitacyjnej.

Nieco wyżej znajduje się Dzi-ki Wodospad. Jest to zaporą wybudowaną w latach 1910–1915, po powodzi z roku 1897 uważanej za największy kataklizm tysiąclecia. Zapora ta jest przeznaczona do nieco innych celów niż myślimy. Otóż ma ona nie tylko powstrzymywać ogromne masy wody, ale przede wszystkim niesiony przez nie rumosz skalny. Aby



taka zaporą spełniała swoją funkcję, trzeba oczywiście co jakiś czas czyścić zbiornik wodny z zalegającego piasku i kamieni. Patrząc na jej obecny stan odnosimy wrażenie, że już najwyższa pora na podjęcie tego typu prac.

Idąc dalej docieramy do Orlinka. Jest to obiekt bardzo dobrze funkcjonujący zarówno przed wojną, jak i po wojnie. Niestety działania podejmowane po 1945 roku niekoniecznie przyczyniały się do jego pozytywnego wykorzystania. Otóż najpierw obiekt ten służył sierotom wojennym, a następnie powoli dostosowywano go do funkcji ośrodka wypoczynkowego. Przez długi czas był najbardziej rozpoznawalnym ośrodkiem w Karpaczu. To tutaj podjęto stałe dostawy piwa z browaru żywieckiego. Ponoć pretekstem była planowana wizyta Walentyny Tierieszkowej, która jednak nigdy nie doszła do skutku. Obecnie Orlinek popada w ruinę.

Kiedyś miał do Karpacza przybyć wicepremier zaprzyjaźnionego kraju. Ustalono wówczas, że główne przyjęcie odbędzie się w schronisku „Nad Łomniczką”. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie drobiazg – otóż nie ma tam prądu. Główne danie stanowiły pawie i z tym nie było problemów, jednak gdy goście zażyli sobie kawy, obsługa wpadła w popłoch. Przecież dowieziona kawa była w ziarnach, a jak bez prądu ją zmielić? Początkowo próbowano to zrobić z wykorzystaniem ręcznego młynka, jednak czyniony przy tym hałas nie uszedł uwagi gości. Wtedy zdecydowano się wysłać samochód, który zawiózł kawę do Orlinka, gdzie spokojnie ją zmielono w młynku elektrycznym. I tak przyjęcie udało się.

Ostatnim odwiedzionym miejscem, po obejrzeniu sztucznego lodowiska, był Biały Jar. Oczywiście okres świetności tego obiektu dawno już minął, ale dzisiaj możemy stąd wjechać wyciągiem kanapowym pod wyciąg na Kopę. Dla nas jednak bardziej interesująca jest stara droga prowadząca pod górę. Raz, że w istniejącym kiedyś tartaku odnaleziono prawdziwy skarb. Były to złoto i dolary ukryte pomiędzy deskami. Dwa, że wąska uliczka została tak zaplanowana, by jej szerokość (3 metry) była wystarczająca do minięcia się wozu wiozącego siano i baby niosącej w chuście na plecach chrust. To były czasy! Dzisiaj pewnie nikt nie pomyślałby o takim ułatwieniu.

Krzysztof Tęcza



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Zamek Lenno otwarty dla zwiedzających

Wleń otrzymał prawa miejskie w 1214 roku z rąk księcia śląskiego Henryka Brodatego. Do tej pory Urząd Miasta i Gminy Wleń szczylił się największą kamienną zaporą w Polsce, teraz ma kolejny powód do dumy – 11.05.2018 r. o godz. 20.00 miało miejsce uroczyste otwarcie dla zwiedzających Zamku Lenno, który jest najstarszym murowanym zamkiem na Śląsku.

Zaprezentowano go po ostatnio zrealizowanych zadaniach: wykonaniu oświetlenia ruin i alei prowadzącej na zamek wysoki, zainstalowaniu kamer monitoringu (w celu udostępnienia widoku z nich w aplikacji mobilnej), drenażu murów i uporządkowaniu dziedzińca.

Organizatorem wydarzenia był Urząd Miasta i Gminy Wleń we współpracy z: Syrokomlą Wasilewicz, Ośrodkiem Kultury, Sportu i Turystyki we Wleniu, Zespołem Szkół im. Świętej Jadwigi Śląskiej we Wleniu, Browarem Dolina BoBRU.

Partnerami imprezy były następujące instytucje: Nadleśnictwo Lwówek Śląski, Dolnośląski Zespół Parków Krajobrazowych Oddział Jelenia Góra, Wieża Książęca w Siedlęcinie, Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie w Uboczu, Stowarzyszenie „Wleń TO TU”.

Fot. Zbigniew Piepiora



Fot. Zbigniew Piepiora



Patronat medialny nad imprezą objęły serwisy medialne: TV Łużyce, Muzyczne Radio, „Nowiny Jeleniogórskie”, www.nj24.pl, www.infolwowek24.pl, www.strimeo.tv, „Kurier Wleński”.

Zamek Lenno jest udostępniony zwiedzającym w każdy weekend – w piątki w godz. 16–19, a w soboty i niedziele w godz. 10–18. W dni robocze grupy zorganizowane mogą go zwiedzać po wcześniejszym umówieniu się z pracownikiem Urzędu Miasta i Gminy Wleń.

Zbigniew Piepiora

Z przeszłości Czorsztyna

Z wielkim uważaniem pochylałam się nad inicjatywą wydania drukiem pamiętnika Marceliego Drohojowskiego (1817–1901), właściciela dominium czorszyńskiego lub, jak kto woli, państwa, a prościej – własności ziemskiej. Dla tych, którzy zastanawiają się, jakie to włości wchodziły w skład tej własności, podaję: wsie Kluszkowce, Krośnica, Hałuszowa, Sromowce Niżne i Wyżne wraz z gruntami rolnymi, polami, pastwiskami i ponad dwoma tysiącami mórg lasów pienińskich. Dodatkowo właścicielowi przysługiwało prawo do młyna, tartaku, wapiennika i trzech wiejskich gospód z propinacją oraz połowu ryb w Dunajcu i polowań. Najbardziej wizerunkowym elementem tegoż dominium były ruiny zamku położone na wysokim wzniesieniu przy dawnej Drodze Królewskiej wiodącej z Polski na Węgry, zapisane królewskimi wizytami i pobytem Zawiszy Czarnego.

Marceli, o nadanych na chrzcie dodatkowych imionach Feliks Franciszek Seweryn Antoni, był z rodu wywodzącego się z Drohojowa, z ziemi przemyskiej, ze szlachty w województwie ruskim. Pieczętowali się węgierskim herbem Korczak, w polu czerwonym znajdowały się trzy srebrne rzeki – Dunaj, Sawa i Cisa (bądź Drawa). O protoplaście rodu, jego potomkach, koligacjach i powiązaniach rodzinnych wiemy z genealogicznego opracowania dr. Jana Drohojowskiego, zatytułowanego „Kronika rodu Drohojowskich” (1904). Sam Marceli należał do dwunastego pokolenia, z linii zapoczątkowanej przez Jana Parysa Drohojowskiego, kasztelana sanockiego. Był synem Maksymiliana i Wiktorii z domu Grudnickiej.

Pamiętnik spisał już w sędziwym wieku 85 lat. Jest on świadectwem epoki, obrazem dziewiętnastowiecznej Galicji, ma walor dokumentalny, mimo subiektywnego spojrzenia. Marceli Drohojowski odszedł 11.08.1909 r. w wieku 93 lat, spoczywa na cmentarzu rodzinnym obok kościoła w Sromowcach Wyżnych.

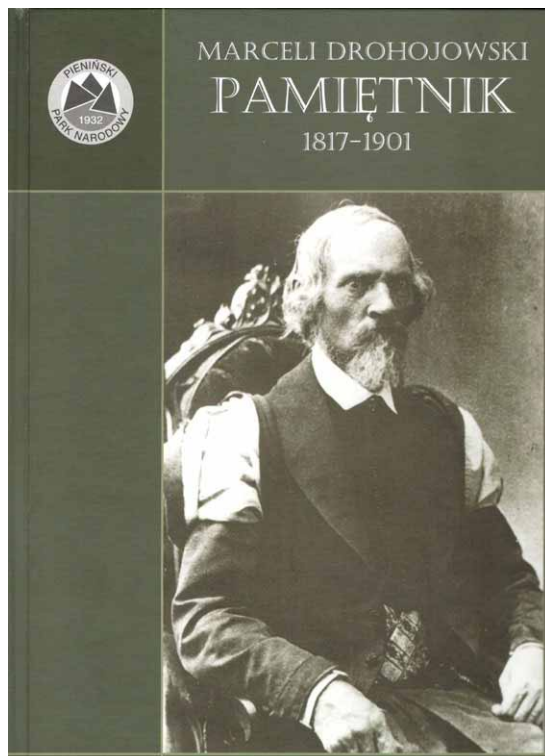
Pamiętnik ukazał się staraniem i nakładem Pienińskiego Parku Narodowego, czemu się nie dziwię – to jakby akt wdzięczności (jeżeli nie spłaceniu długu) wobec Marceliego Drohojowskiego i jego potomków za ochronę Góry Zamkowej w Czorsztynie. Formalnie w 1921 r. syn Marceliego Stanisław wydzielił siedmiohektarową działkę na rezerwat przyrody, który stał się zaczątkiem Pienińskiego Parku Narodowego. Utworzony w 1932 r. PPN w przeważającej części powstał na terenach sprzedanych państwu przez Drohojowskich i Dziełowskich z Krościenka w latach 1929–1930. Ród Drohojowskich z Czorsztyna miał duże znaczenie dla przyszłości wsi i regionu, jak i samej rodziny.

Pamiętnik do druku podali Joanna Dardzińska i Tomasz Gałwiazek, tenże opatrzył go przedmową, bardzo wyważoną, o walorach edukacyjnych, napisaną przystępnie i z dużą kulturą, z dającą się wyczuć nostalgią za minionymi czasami, czemu się nie dziwię. Wystarczy przymknąć oczy, przywołać niegdyśjsze obrazy przybliżone przez autora słowa wstępnego, a następnie je otworzyć – i co zobaczymy? Krajobraz odbiega od obrazu z pamiętnika Marceliego Drohojowskiego – dawny Czorsztyn pokryły wody zbiornika retencyjnego. Wszystko bezpowrotnie odeszło pozostawiając wspomnienia. Introdukcja autora uzupełniona została notą edytorską Joanny Dardzińskiej, również potrzebną, pozwalającą poznać podstawy edycji pamiętnika.

Dyrekcji Pienińskiego Parku Narodowego należą się słowa uznania za wydanie pamiętnika. Nie jest to pierwszy taki przypadek, rok wcześniej ukazała się inna, równie znacząca publikacja pt. „Wincentego Kasprowicza «Kronika zameczku św. Kingi i pustelni w Pieninach»” (z rękopisu autora do druku podał oraz wstępem i przypisami opatrzył Stanisław Kołodziejwski). Można zatem, poza swoimi specjalistycznymi pozycjami, pokusić się o wydawanie właśnie takich publikacji, ważnych dla poznania historii regionu.

Ryszard M. Remiszewski

Marceli Drohojowski, „Pamiętnik (1817–1901)”, nakładem Pienińskiego Parku Narodowego, Krościenko nad Dunajcem 2017, s. 135+il.



Przez Kowary do Kopalni „Podgórze”

Książkę Jarosława Szczyżowskiego pt. „Taniec na Uranie. Z Kowar do Kopalni «Podgórze»” kupiłem tydzień po spotkaniu z promującym ją, które miało miejsce w Podziemnej Trasie Turystycznej Kopalnia „Podgórze” w Kowarach. Niestety nie mogłem na nie przybyć. Postanowiłem to sobie zrekomensować zakupem i lekturą promowanej książki, która jest drugim „przewodnikiem emocjonalnym” Jarosława Szczyżowskiego w mojej kolekcji.

Zabrałem się do czytania. Pozytywnie zaskoczyło mnie opakowanie książki. Została, niczym paczka, owinięta szarym papierem. Związano ją dratwą na kokardę. Papier ostemplowano czerwonymi napisami ŚCIŚLE TAJNE.

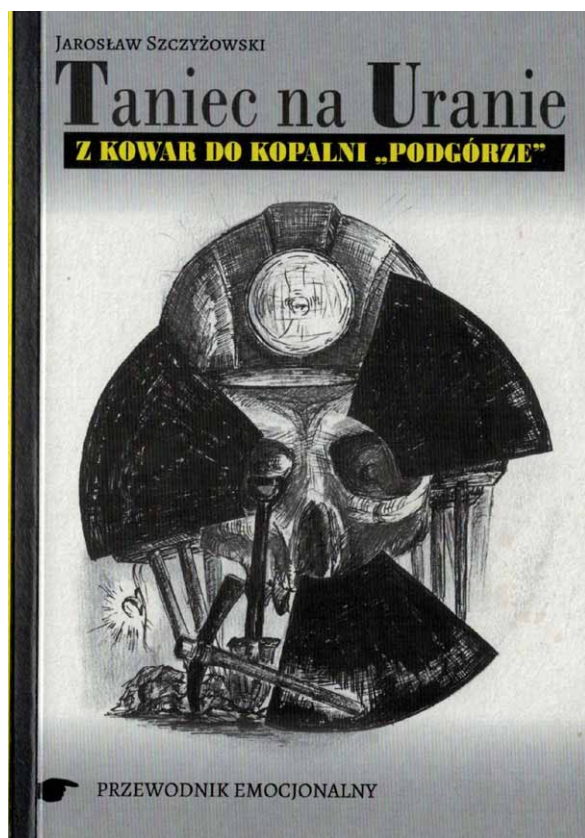
Książkę, a w zasadzie książeczkę, przeczytałem w dwie godziny. Moje zaskoczenie wzbudziła pierwsza część jej tytułu – „Taniec na Uranie”, gdyż taniec kojarzy mi się ze sportem i rekreacją, a nie z uranem. Na szczęście, już na wewnętrznej stronie okładki Sandra Nejranowska – redaktorka i korektorka – wyjaśniła, że chodzi o *danse macabre*, czyli taniec śmierci. Autor uczynił to na 38. stronie książki.

Moją uwagę przyciągnęły rozkładane strony okładki, które, jak i cała książka, ozdobione zostały klimatycznymi, czarno-białymi rysunkami Łukasza Michewicza. Na pochwałę zasługuje spis treści w konwencji graficznej prezentacji atomu uranu, którą znamy ze szkoły podstawowej.

J. Szczyżowski podzielił książkę na 11 rozdziałów, w których zaprezentował wędrówkę Szlakiem Tradycji Górniczych. Warto przypomnieć, że ten szlak jest łącznikiem między Parkiem Miniatur Zabytków Dolnego Śląska a podziemnymi trasami turystycznymi. Został uroczystie otwarty 27.04.2012 r., ma ok. 7 km długości, przejście nim zajmuje ok. 2,5 godziny w jedną stronę, a ze zwiedzaniem napotkanych po drodze atrakcji turystycznych dwa razy dłużej (warto wcześniej zweryfikować dni i godziny udostępniania dla zwiedzających Urzędu Miejskiego w Kowarach, kościoła pw. Najświętszej Marii Panny, galerii i muzeów). Szlak Tradycji Górniczych wiedzie przez centrum Kowar, które jest niestety omijane, ze względu na brak czasu lub niewiedzę, przez większość turystów, którzy zwiedzają tylko Park Miniatur Zabytków Dolnego Śląska i/lub podziemne trasy turystyczne.

Brak wiedzy można, przy niewielkim nakładzie czasu, uzupełnić dzięki „Tańcowi na Uranie...” J. Szczyżowskiego. Po naskicowaniu tła historycznego, autor prowadzi nas z dworca PKP Kowary do Kopalni „Podgórze”. Trafiamy na Kowarską Starówkę, a później na „Osiedle Górnicze”. Zwiedzamy z zewnątrz kopalnię: „Wolność”, „Szczęście Redena”, „Liczyrzepa”, „Podgórze”. Poznajemy historie tych obiektów oraz tragiczne losy ludzi w nich pracujących. Podążając Szlakiem Tradycji Górniczych, autor przedstawia nam ciekawostki dotyczące takich miejsc, jak „Droga Głodu” czy Fabryka Dywanów „Kowary”.

J. Szczyżowski rozprawia się z mitem, że zwiedzanie Podziemnej Trasy Turystycznej Kopalnia „Podgórze” w Kowarach nie jest bezpieczne (s. 13). Zauważa problemy, z którymi do tej pory nie uporały się władze Kowar, takie jak rosnący na terenie gminy barszcz Sosnowskiego (s. 34–35) czy wyludnianie się miasta po



Fot. Zbigniew Pieplora



upadku dużych zakładów pracy (s. 21). Słusznie, bo zmniejszanie się liczby mieszkańców Kowar i pogarszanie sytuacji materialnej części z nich stanowi dla mnie *danse macabre* współczesnych Kowar, który możemy zaobserwować np. idąc do Kopalni „Podgórze” niebieskim szlakiem i ulicami miasta.

Dużym atutem książki są sprawnie zaaranżowane scenki sytuacyjne sprzed 70 lat (np. na s. 16–18). Autor dobrze operuje językiem – na uwagę zasługują piękne porównania (s. 26–27) i budowanie klimatu grozy (s. 28 i s. 33).

Niestety, autorowi zdarzyło się kilka potknięć. Mimo że książka nie ma charakteru monografii naukowej, wymienię je, mając nadzieję, że autor je poprawi, jeśli kiedyś zdecyduje się na drugie wydanie swojego „przewodnika emocjonalnego”.

W książce znalazłem błąd językowy („na przestrzeni lat” na s. 33). Na s. 68 autor napisał, że bomba atomowa „Fat Man” zniszczyła Nagasaki 9 maja 1945 roku, a, jak wiemy z lekcji historii, zdarzyło się to 3 miesiące później. Szkoda, że na tej samej stronie autor nie przypomniał czytelnikom, kiedy zdetonowano wspomnianą przez niego pierwszą radziecką bombę atomową.

Na s. 49 autor stwierdził, że staw osadowy zasypano w latach 90. XX wieku, a dwadzieścia stron dalej, że było to we wcześniejszym dziesięcioleciu. Na s. 64 napisał, że inhalatorium radonowe zamknięto w 1989 roku, mimo że stało się to w połowie 1991 roku.

Wydarzenie opisane na s. 31–32 miało miejsce w lipcu 1994 roku, a nie w latach 80. XX wieku. Skoro autor zajął się także tragediami, które miały miejsce po zakończeniu wydobywania rudy uranowej, mógł wspomnieć o wypadku, który miał miejsce 2.11.1993 r. w „Hydromecie”.

Omawiając kopalnię „Liczyrzepa”, J. Szczyżewski nie wspomniał o zagospodarowaniu turystycznym sztolni 9 i 9a od 29.04.2000 r., ale na s. 12 uprzedził, żeby nie spodziewać się obiektywizmu. Autor nie podpisał cytowanych wspomnień górników. Być może dlatego, że tylko pod takim warunkiem rodziny zmarłych i ci żyjący zgodzili się na publikację...

Zakończenie książki jest bardziej zaproszeniem do lektury pierwszego tomu z serii „Przewodnik Emocjonalny” niż podsumowaniem drugiego. Rozdział ten traktuje bardziej o Miedziance niż o Kowarach.

Mimo wymienionych mankamentów polecam „Taniec na Uranie. Z Kowar do Kopalni «Podgórze»”. Książka J. Szczyżowskiego nadaje się do lektury np. podczas dwugodzinnej jazdy pociągiem z Wrocławia do Jeleniej Góry (bo do Kowar, niestety, pociągi już nie dojeżdżają). Uważam, że czytając ten „przewodnik emocjonalny”, turysta może się dobrze przygotować do zwiedzania tytułowej kopalni, jak i samych Kowar w Karkonoszach (moim zdaniem określenie „Kowary w Karkonoszach” lepiej brzmi niż wyrażenie „Kowary koło Karpacza”, na które trafiłem, czytając stronę internetową Podziemnej Trasy Turystycznej Kopalni „Podgórze” w Kowarach).

Zbigniew Piepiora

Jarosław Szczyżowski, „Taniec na Uranie. Z Kowar do Kopalni «Podgórze»”, seria: „Przewodnik Emocjonalny”, ilustracje: Łukasz Michewicz, redakcja i korekta: Sandra Nejranowska, Wyd. AD-REM, Jelenia Góra-Kowary 2018, 72 strony, cena 20 zł.

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.

Magazyn odznaczony „Złotą Honorową Odznaką PTTK” w 2002 r. oraz Odznaką Honorową „Za Zasługi dla Turystyki”

przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta i redakcja tekstów: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**
Stale współpracują: Juliusz Wystouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Plik



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca
i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów,
przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu
i reklam wewnątrz numerów
na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931